



1908

19

19

OBRAZY

LITWISKIE.

OBRAZY LITIEWSKIE

PRZEZ

IGNACEGO CHODŹKĘ.



T O M II.



Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKLADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1 8 4 0.

Pozwolono drukować. Z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczony liczby exemplarzy.
Wilno 18 Kwietnia 1840 roku.

Cenzor PAWEŁ KUROLNIK.



A 10874

**Dolnośląska Biblioteka Pedagogiczna
we Wrocławiu**



WRO0180450

T O M III.



**Ostatnia Sessya Exdywizyi.
Samowar.
Powrót Dziedzica.**



OBRAZ IV.

OSTATNIA SESSYA EXDYWIZYI.

Służmy poczciwój sławie! a jako kto może,
Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.

KOCHANOWSKI.

**OSTATNIA SESJA
EXDYWIZYI.**

W szczęściu miałem tłum przyjaciół
Co mię wiecznie kochać mieli;
Lecz gdy mię los z manki zaciął,
Wszystkich razem djabli wzięli.

Dawna pioska.

OSTATNIE posiedzenie Sądu dzielącego majątek biednego dziedzica między jego wierzycieli, podobném jest do ostatniej godziny polowania; w której, mówiąc wyrazem myśliwskim, gończe z oka biorą zwierzynę. Lis stary, szczwany jak to powiadają, da jeszcze

kilka tęgich obrótów, niżeli go pogoń lub szrót zabójczy dosięgnie; ale trwożliwy zajączek dobywa sił ostatnich, aby dosięgnął swej kniei ojczystej z której go wypłoszono, jakby tam koniecznie poledz pragnął, gdzie się urodził!!! Liczna stron gromada wywiera ostatnie, a najtęższe usiłowanie na zabicie wszelkich środków obrony dziedzica; oblega stół sądowy prozbami tyczącemi się wartości rozdzielić się mającego majątku, miejsca gdzie kto wybiera i daną mieć sobie życzy posadę i wytknięcia najdobitniejszych, czy to błędów, czy to nieszczęść dziedzica błędami ochrzczonych. Nareście uderzają go jakby na waletę, ostatnie razy mściwej niechęci, zawiedzionej nadziei, skarżącego się ubóstwa, nierozważnego natrząsania się, i zwolna dopiekającej intrygi. Ten który przeszedłszy różne koleje życia nauczył się dotrwać w każdej,

odpowie jednym, odepchnie drugich, pobłaży możniejszym, lęklwym pogrozi i da uczuć że jeszcze zupełnie nie upadł, wzgardzi innych, podwoi w tej stanowczej chwili siłę działania, i osobistość swoją nad tamę pogrążającą jego fortunę wyniesie. Ale młodzik nieznający ludzi ni świata, któremu chciwy interes z nieostrożnej i łatwowiernej korzystający młodości, w przód wydarł fundusz, niżeli on poznał wartość onego, który przebył drogę do zguby z zawiązanemi że tak powiem oczyma, który we wszelkich stanowczych zdarzeniach życia, ledwo że nie traci przytomności, a najmniej nie zdoła utrzymać siebie na stopniu umysłowej nad losem wyższości; taki zazwyczaj z sercem ściśnionem i ze łzą w oku, słucha jakby nie słyszał uderzających go wyrzutów, i do poniesionej straty chleba dodałby jeszcze lat kilka swoje-

go życia za skróconą jedną chwilę, tego ostatniego paroxyzmu swego moralnego skonania. Mamy prawa na bankrutów; czemuż nie mamy na tych, którzy do bankructwa przywodzą? Kiedy widzę młodego człowieka otoczonego rojem pochlebców, obłudników, samolubów, próżniaków, i szachrajów, prowadzących go do zguby, przypomina mi się obraz od nianiek jeszcze opowiadany, jakto szatani dobrą duszę grzesznika do piekła zapraszają; oto go otoczyli w około: jeden mu się kłania pięknie, drugi go pod rękę prowadzi, trzeci na fletrowersie marsz przygrywa, inny go z tyłu popycha, inny znowu scieszkę gładzi i umiata; a wszyscy ciesząc się ze zdobyczy dowodzą że w piekle i wygodnie i ciepło.

Na obszernym dziedzińcu do którego przez bramę ze zwyczaju tylko wjeżdżano; bo opadłe sztukiety i parkany

wszędzie wolny dawały przystęp, w znosił się staroswieckiego kształtu budynek, którego jedna część z oknami całemi, zalecała się jako mieszkalna, środek z szybami po większej części papierowemi, oznaczaćby mógł letnią rezydencyę, a jedna trzecia część bez okien i pusta, wyraźnie dawała poznać że spustoszenie tu, jak zwycięstwo od lewego ku prawemu postępując skrzydłu, właśnie nad środkowym korpusem pracowało, a dziedziec w ostatniej reducie warownie się oszańcował. Reszta budowli otaczających dziedziniec, jednegoż z głównym rumem doświadczały losu. Wysoki lamus jak olbrzym stary, na szczudłach wsparty, poglądał z góry ogromném wołowém okiem, na własną mizeryę, i na kuchnię u dołu jego codzien niższą, która nań wzaajemnie, jak zgrzybiała i osmalona babuła, pokorném i przyćmioném z ziemi

mrugała oczkiem, a przez dach, jak z pod starego kapiszonika, suche wyciągała ramiona. Na przeciw stajnia i wozownia, nie zamożna wprawdzie w zaprzęgi i powozy, lecz za to wozownia wartą była obejrzenia amatora starożytnych pamiątek; można ją było wziąć za skład wydobytych gdzieś jak z Herkulanum ułamków woźnictwa średnich wieków. czerwone ogromne od karety pudło ze Czterema galkami na wierzchu, na których ostatki pozłoty błyszcząły jeszcze, główny kął zajmowało; stary pokurc Bryś i kuchcik Janek, wielcy między sobą przyjaciele, wygodną w niém mieli gospodę. Z drugiego kąta strwożyć mogła niebacznego przychodnia, straszliwa głowa murzyna od paradnych niegdyś sanek urwana; nieraz w nich zapewne przed jakich sto laty, młodą piękność rzezwy i zręczny powozil młodzieniec, a murzyn niemowa stercząc

na przodzie był jedynym powiernikiem ich oświadczeń i przysiąg: dalej skielet poczciwej taradajki, w której nieboszczyk dziadulek dzisiejszego tych skarbów dziedzica, objeżdżał z koronką w ręku pola łąki i lasy; z bliższych epok czwierć faetonu i półtora kałamazki.— Ale któż wyliczy bogaty zbiór kół i półkolów, bryczek, półkrytków, z których ręka znawcy ciekawego gabinet ułożyćby mogła. Niestety! przyjaciel Brysia nie jeden rosół na tych pamiątkach zgotował, i jak mi późniejsze doszły wieści, wszystkie je tym sposobem, nie oszczędzając i własnej kwatery, zniszczył.

Wśród tych powszechnych ruin jeden tylko folwark gospodarski starraniej był opatrzony; mieszkał tam bowiem pan Baltazar ekonom, dbający bardziej o własne niżeli o pańskie wygodki.

Właścicielem dworu tego, był pan Podkomorzyc, jenynak dobrego urodzenia i wychowania, którego fortunie ostatnia wybiła godzina: i dla tego na dziedzińcu jego, w dniu tym który mi za treść służy, szczególniejszy zbiór i ruch postrzegać się dawał. Kilkanaście rozmaitych powozów stało przed stajnią, kilkadziesiąt osób różnego wieku i stroju, żywą prowadzących rozmowę, przechadzało się wielkimi krokami pomiędzy kilkunastu rozmaitej maści końmi, puszczone mi wolno na osty i pokrzywy gęsto na dziedzińcu porosłe. Grupy te łączyły się lub się rozdzielały po woli i kierunku koni dążących tak lub owak do bujniejszej trawy: często najważniejszą naradę przerywał i roztrącał deresz lub siwak wciskając się nieproszony między gromadę konsultorów; często znowu na jakieś niewidome hasło, całą kompanię ludzką po-

chłaniał budynek, a natenczas konie zdumione naglém osamotnieniem podnosiły głowy, wyciągały chude szyje, i rżały jakby szyderczo.

W budynku samym scena w ciśniejszym zawarta obrazie, ożywieńszą jeszcze była. Tam w jednej z izb lepiej opatrzonych obrano sądową; na środku postawiono długi stół, na nim krucyfix stróż sumnienia sędziów, i dzwonek, godło prezydenckiej władzy; wokoło stołu trzy krzesła, a za pierwszym z nich woźny, urzędową jak mogąc utrzymujący minę, oczekiwał na przybycie Sądu, i niedospaną fizyognomię swoją ożywiał, trzęsąc często z różka na kulak tabakę i ogromnym ją po kulaku dziubiąc nosem. To przybranie nadawało miejscu temu niejakaś powagę, a jednakże interes niezważając na to żwawo się tu krzątał i pracował; drzwi się bez ustanku otwiera-

ły na oścież, lub się z trzaskiem zamykały; tłum rozmaitych figur tłoczył się i mieszał; tam rozkładano papiery, ówdzie rozpostartą na rękach trzymając mapę, kilkunastu z Ichmościów na rozmaitych jej punktach, wzrok i palce oparli; kilku z czynniejszych facyendarzy przewijało się raźniej i żywiej nad innych; przebiegali oni od jednych do drugich, odprowadzali na sekreta, i wśród powszechnego gwaru rozprawiali wprawdzie ciszej na głos, ale mocniej na giesta i migi. Kiedy niekiedy usłyszalbyś tylko „połowę na *bars gielt!*” — sto...ani grosza więcej!... zjedz sto djabłów...połowę kapitału! Na suche bory i lasy...Nie doczekasz! Zgoda! i tym podobne wykrzykiwania oznaczające zawarte lub zerwane układy.

W zgielku tym, tłumie i zamieszaniu odróżniał się spokojną postawą młodzieniec lat dwadzieścia kilka mieć mo-

gący, pięknej postaci i łagodnych rysów twarzy, na której jednak nagle zmiany bladości i rumieńca, okazywały wewnętrzne mocne cierpienia i wzburzenie krwi gwałtowne. Stał on w izbie sądowej oparty o okno i obojętnym na tłum zgromadzony zdał się oglądać okiem; przybywający do sali zimnym go witali ukłosem, wyżeł tylko siedząc na tylnych łapach przed panem swoim, patrzył mu w oczy jakby chcąc zgadnąć myśli jego, lub warował u nóg i burczał na podchodzących.....Powiadają że pies wierny zgadnie nieprzyjaciela!

Młodzieniec ten był to dziedzic rozdzielającego się majątku, pieszczony niedawno i szanowany od tych wszystkich, którzy dziś na stypę jego fortuny przybyli.

W końcu przy drzwiach stała jeszcze jedna figura spokojna i nieporuszo-

na, człowiek dobrze podżyły ale czerstwy jeszcze i krzepki; uroda więcej niż mierna, rumiane policzki, włos siwy na głowie i także wąsy, a w całej twarzy wyraźna poczciwość ale nie łagodność wszakże. Stary to sługa domu dziedzica, ojcowski jeszcze, lecz od lat już dziesiątka szlachcic na zagrodzie w pobliskiej okolicy; patrzy on ze smutkiem na swego kochanego panicza, na dwór w ruinach za jego służby zamożny i porządny; na nieproszonych gości napełniających izby; patrzy.... milczy... niekiedy pokręca wąsa i duma!... Jeden z uwijających się litygantów zbliżył się do Pana Dogackiego (to było jego nazwisko) szepnął mu coś do ucha, mruknął coś nazad Dogacki, a forsujący odskoczył raptem w tył i przeżegnał się, widać że niepomyślną wziął odprawę.

Wtém otworzyły się zamknięte dotąd podwoje, i weszli sędziowie, a za

nimi z wielką xięgą pod pachą, w wytartéj kapotce, przenikliwém na wszystkie strony rzucający okiem i z piórem za uchem, regent sądowy. Rzekłbyś że gwałtowny wichur uderzył raptem z tyłu na tłum zgromadzony i razem wszystkich pochylił ku ziemi. Powoli prostowały się figury, a tym czasem na skinięcie prezydenta, ozwał się najuroczystszym jak mógł głosem woźny: „Sądy Taxatorsko-Exdywizorskie przywołują się!” — Panowie! rzekł potem Prezydent, proszę Panów ostatnie dziś nam przynieść *petyta*, gdyż dziś niezawodnie weźmiemy sprawę do namowy i to jest ostatnia sessya.” Na te słowa szmer szczególniejszy dał się słyszeć po sali, ruch się podwoił, tłum się przewracał, popychał, szeptał i warzył, a tym czasem sędziowie zasiedli swe miejsca. „Słuchamy rzekł znowu prezydent! cóż Panowie? Wystąpił więc

z tłumem Pan Grzegorz mecenas, główny plenipotent kredytorów; figura tego Jegomościa sucha, a podobniejszego dobierając malowidła, wymokła jakby i potem zawędzona, przedłużała się długą bocianią na przód wysuniętą szyją, a kończyła się głową spłaszczoną po skroniach i policzkach, co tém wydatniejszym czyniło nos Pana mecenasa, kobuziego kształtu, z bogatym na końcu rubinem w miedzianą jakoby oprawę osadzonym, bo do takiego koloru zbliżały się policzki Jegomościa: włos na głowie jego rzadki, nastrzępiony był niedbale nad czołem, które on marszczył lub rozmarszczał, stosownie jak ważne i zawzięte, lub łagodne snuł zamiary i myśli; a razem też się wytrzeszczały lub mrużyły zapadłe głęboko oczy Pana mecenasa. Zawołanyż to jurysta staréj szkoły! *quondam* aplikant, a potem agent trybunalski, z kolei naczelny po-

wiatowy prawnik, i co nie dawno jeszcze szło za tém, naczelny do haustu; nakoniec odstawny pieniacz czuwający na wszelkie zjazdy, zajazdy, inkwizycye, tradycye, exdywizye, na których jako tęgi planista i doświadczony *executivus*, ważną zawsze grał rolę. Całą on swoją drogę życia najwyborniej i gładziuteńko przechodził, bo wołał na wszystkich, wszędzie i zawsze słowami swojej profesyi: prawo! prawo! prawo! a sam zawsze szedł na lewo, i dla tego nigdy się nie zaczepił!!! Wyciskał się tedy pan obrońca z pośród swoich litygantów, a co krok pociągany za kubrak nachylał się na jedną i na drugą stronę; każdy mu szeptał słów kilka do ucha i za każdym razem kiwał on głową i powtarzał: „rozumiem” rozumiem! pamiętam! aha! aha! dobrze! dobrze! i tym podobnie; jak kuryer zbiera po drodze listy do miejsca gdzie się ma z tłomokiem

rozpakować, tak pan mecenas z pełnym ładunkiem przybył do stolika, i wyprostowawszy się zawołał:

„Sądzie Exdywizorski! Wielmożni Panowie Dobrodzieje! proszę o głos! Prezydent skinął głową a pan mecenas scicha, powoli, i lamentującym głosem tak mówił: „Otoż chwila sędziowie! w której macie stanować o losie kilkudziesięciu osób i familij, które fundusze swoje w marnotrawne powierzywszy ręce, za gotowe i krwawą pracą zebrane pieniądze, kawałek ziemi nieużytecznej i wcale im nie potrzebnej otrzymać mają. Stoją tu przed wami sędziowie w znacznej liczbie zgromadzeni nieszczęśliwi kredytorowie, wyglądający od was sprawiedliwości i wyroku, przez który mądrość wasza zajaśnieje przed światem, i słynać będzie w potomne wieki! Nie będę powtarzał poszczególnych wywodów interessu każdego

z przychodzących wierzycieli, ani mojego własnego; bo to już w kategoriach osobnych, w produktach i replikach, miałem honor sądowi przełożyć: w ogólności więc tylko i ostatecznie zastanowię uwagę sądu nad tém. Jaki jest stan i wartość funduszu pod rozdział idącego? Konkludując oczewiście, że takowego wystarczyć nie może na usatysfakcjonowanie debitorów pana dziedzica i jego antecessora, a zatém, że surowość prawa i rekurs dalszy *ad bona reperibilia* rozciągniętym tu bydź musi i powinien! Po tym wstępie, mówca coraz żywiej głos podnosił. „Cóż tu wziąć mamy sędziowie? ziemię! ale jakąż ziemię? piaski! podzały! błota! mchy! na których kredytorowie żurowiny tylko zbierać będą! a reszta choćby lepsza z natury, to pusta, nieuprawna, nieurodzajna; to Arabia! sędziowie to Arabia!!!” A wiele wasan z tej Arabii zjadł pirogów, odezwał

się z kąta gruby głos Pana Dagockiego, bodaj wasanu tyle.... Uciszcie się panowie! uciszcie się! przerwał woźny! „Nie, Sądzie Prześwietny! fałszywy to i nadto śmiały głos w obliczu waszém przerywa mnie; mało tu było pszenicy, mało pirogów, a wkrótce nie stało i chleba; ale wszakże nie tém co było, lecz tém co jest dzielić się mamy, i tém gorsza nawet wina dziedzica, że objął, dajmy to pszenicę, a oddaje plewy; że objął intraty i urodzaje, a oddaje pustki: bo zważ Sądzie Prześwietny! mamy tu wprowadzie wysadzane ulice i klomby jak je nazywają, a w rzeczy saméj łozowe krzaki, w jakimś niby to ogrodzie założonym na nowo przez terażniejszego dziedzica; ale nie mamy lasów wyciętych bez potrzeby i ładu, nie mamy łąk, zarosłych i zapłynionych w trzęsawiska przez niedbałość gospodarza” za każdym następnie satyrycznym peryodem mów-

ca szeroką rozpościerał gestykulację, rzucając kiedy niekiedy wzrok na dziedzica opartego przy oknie: „na klombach że tu tylko zasiewać i gospodarzyć, bo na polach niemasz z czém, i niema na co! kilka nędznych krowek w oborze, dwie stare i chude szkapy w stajni, oto cały dobytek gospodarski rogaty i nierogaty. Mamy za to psów bez liku i dobrze wykarmionych, tu wskazał na tłustego legawca warującego u nog Karola, ale téj trzodki zrzekają się kredytorowie dla dziedzica, niech cała przy nim zostanie! z licznój ruchoomości, pozostają już tylko podarte obicia na ścianach, połamane taburety i stoły, szafy bez zawiasów i kluczków, i liczny zbior butelek szampańskich i porterowych, niestety! próżnych;” uśmiechnął się tu mówca, uśmiechnęli się sędziowie, rozśmiała się publiczność, a Pan Dagocki głową pokręcił. „Mamy

i bibliotekę, ale nie wiele widać zawierają te księgi mądrości, gdy je pan dziedzic czytając ciągle, sposobu mienia pieniędzy nie wyczytał! niechże je i dalej szczęśliwie czyta, w czas mu będzie filozofia przy hołocie; dla tego i biblioteki zrzekają się kredytorowie. Coż mówić o budowlach i o całym *fundum*? w gumnach, stodołach i spichrzach pustych, deszcz przez dachy i ściany rynsztokami leci, a w dwóch tylko czy trzech tu pokoikach, za ledwo może sąd prześwietny, sam pan dziedzic, i my biedni kredytorowie jak pod parasonem ściśnieni usiedzieć! Coż tu więc sędziowie? i jak taxować będziecie? kiedy nie intraty, nie wartość kapitałów, ale *rudera* azatém *onera* na karki kredytorów rozdawać macie. Prosimy zatem sądu o likwidację *cum altero tanto* i z nawiązkami! prosimy realizacyi i zasądzenia *pen* i kontumacyów!” Tu pan

adwokat zajadle już wrzeszczał, przyspieszał słowa jedne za drugimi, przysiadł i podskakiwał raptem na stolik, i zakreślał w powietrzu palcem wskazującym i szerokim na nim herbownym krwawnikiem od ucha do stolika półkole: „pen i kontumacyow! bo dla czegoż jegomość nie stawał u sądu? dla czego narażał na kłopoty i expensa, swych łatwo mu wiernych przyjacioł, swych śmiało powiedzieć mogę dobrodziejów? prosimy o licytację wszelkię, prócz psów i biblioteki, ruchomości! prosimy o kalkulację *de asse et grano* z pana dziedzica; obowiązany on zdać ją, obowiązany pokazać, gdzie podział fundusz własny i pieniądze kredytorskie? Prosimy o lokację *secundum potioritatem*, a w téj kolei o pierwszość dla siebie i dla JWielmożnego Chorążego tu obecnego, *ante omnia* suplikuję. Prosimy nakoniec o uchylene

wszelkich wniosków, żądań, lub zaprzeczeń dziedzica; bo gdyby jakiegokolwiek czynić śmiał, zawołamy do niego; tu mówca zwrócił twarz ku młodzieńcowi stojącemu przy oknie, a palcem stukał po stoliku „Zawołamy do niego, oddaj coś winien! *redde quod debes!* oddaj nierzetelny debitorze! oddaj rozrzutny paniczu! oddaj marnotrawny synu coś winien! *redde quod debes!* a nie oddajesz pieniędzy? to oddaj wszystko co masz, i wszystko co mieć możesz; a nawet oddaj własną osobę: bo tak chce sprawiedliwość, bo tak każe prawo artykułu z rozdziału statutu Litewskiego! Na tę apostrofę zagrażającą jego osobie, dziedzic jakby niespodzianie i nagle źmiję u nog swych postrzegł, wstrząsł się i zbladł jak chusta: „nie masz klemencyi i moderaminu! kontynuował pieniący się konwulsyjnie Pan Grzegorz; nie masz! bo i temu prawo i sumienie sędziów

zaprzecza! Sędziowie! *pereat mundus, fiat justitia!* to jest jak się kto opisał, tak sądzon bydź ma!”

Odszedł od stołu mówca, ocierając czoło zapotniałe; lityganci kłaniali mu się na znak zadowolenienia z odbytego głosu; JW. Chorąży scisnął mu rękę z uśmiechem, a łzy toczyły się po zbladłej twarzy dziedzica: krzykiem mówcy czy instyktem wzbudzony wyżeł, zerwał się gwałtownie, warknął i chciał się nań rzucić; chwycił go za obrożę pan jego, a woźny słysząc hałas i nie dając uwagi od kogo pochodzi, krzyczał z nałogu; „uciszcie się Mości Panowie! uciszcie się!

Czy ma co do odpowiedzi obrońca massy? zagadnął znowu Prezydent: słuchamy! Wyszedł zatem z gromady chłopiec elegancko ubrany i przystąpił do stolika z miną niedbałą, z jaką przystępuje doktor do pacyenta bez nadziei; zabrał głos i tak zaczął. „Z obowiązku

mojego i w swoim czasie; odpowiadałem poszczególnie i dostatecznie na wniesienia każdego kredytora; teraz pozostaje mi tylko prosić sądu, aby mimo wymowny głos godnego obrońcy wierzycieli, sąd nie zapominał uwagi w sprawiedliwych decyzjach swoich, na formalność zapisów i podług niej kassował... Tu nagle postąpił do stolika dziedziec, odsunął swego obrońcę; twarz mu teraz pałała gorączką, głos drżał na ustach, mówił szybko i dobitnie, bo mówił z serca. „Nie, sędziowie! niemasz żadnej nieformalności w moich długach; za podpis mojego ojca ręczy moje sumienie, za mój podpis ręczy mój honor! gdzie takowe podpisy najdziecie, wszędzie jest należność sprawiedliwą! zliczcie więc takowe należności! zaspokoście je choćby ostatnią stopą ziemi, dotąd mojej ojczystej! nie oszczędzajcie żadnej mojej własności, choćby tego ostatniego

fraka mojego! ja was o to proszę! a jeżeliby wszystkiego, co mam, mało było; pójdę z ochotą pracować przez całe życie, na zysk moich wierzycieli, byłem nie miał na mojem sumieniu, i w przekonaniu pocziwych ludzi zarzutu; żem pragnął cudzej własności, żem się dobrowolnie i rozmyślnie przyłożył do czyjejkolwiek złej doli!" Odszedł; spojrzeli nań wszyscy z zadziwieniem, i potem spojrzeli po sobie, jakby z zapytaniem wzajemnem, co czynić należało? Tym czasem obrońca massy znowu niedbale przysunawszy się do stolika odezwał się: „Wtakim razie sędziowie! ja nie mam nic do powiedzenia.” Prezydent więc już brał się za dzwonek, gdy rozepchnawszy tłum Pan Dagocki, stanął przy adwokackim stoliku i rzekł: „Ale ja mospańie tego, mam jeszcze coś do powiedzenia sądowi! Sędziowie dobrodzieje! słuchałem ja, a bodajem ostatni raz słyshał,

mowy długiój Pana Grzegorza, którego znam i z pierza i z mięsa mospanie tego... Podsunał się obok Pan Grzegorz, to jest obrońca kredytorów, i przerwał: „Upraszam sądu o zapytanie tego Jegomościa jakiem prawem rwie się do głosu i śmie zabierać godziny sądowe? a nawet nie prosił głosu! A to śmieszna rzecz mospanie tego, Pan Bóg dał mi głos, na cóż mam o to kogoś prosić? i używam mego głosu i języka pocziwie... Bydź to może mój panie, odezwał się Prezydent, wszelakoż jeżeli Pan nie jesteś kredytorem lub czyimkolwiek plenipotentem, więc niemasz prawa mówić u sądu; „aha! rozumiem mospanie tego! „a zatem, kiedy tak koniecznie potrzeba, poszukamy, poszukamy...” Tu Pan Dagocki wyjął z zanadry i rozwiązał stary, niegdyś czerwony pugilares, i włożywszy okulary, rozpoczął examen znajdujących się tam papierów, otoczyli go zbliska

wszyscy, i zwrócili nań oczy. Tu są różne mantyki mospanie tego, mówił rozpatrując powoli, była tu i karta nieboszczyka Podkomorzego na sto talarów bitych. Zaraz!... zaraz!... to: nie, to nie to; to świadectwo nieboszczyka Podkomorzego, Panie! świeć nad jego duszą! żem mu lat dwadzieścia ośm pocziwie i wiernie służył! a może Ichmość nie wierzyce że można tak długo w pocziwości dotrwać? to proszę czytać, kiedy łaska! nie chcecie? no, to niechaj, sobie mospanie tego... proszę uniżenie! gdzie to ta karta podziała się? To patent bractwa rozańcowego XX. Dominikanów na pierwszego bratczyka: a to assekuracya mospanie tego tychże Ojców, że ja będę w niebie! Assekuracya krzykniono! pokaż Panie Dagocki, pokaż zmiluj się! Nic z tego nie będzie, odpowiedział starzec i schował papier, nie chcieliście czytać mojego świadectwa pocziwój słu-

żby, to i drogi do nieba nie pokażę. To, przepis doświadczonego lekarstwa na ochwat: a może któremu z Ichmościów zdałoby się mospanie tego... dla koni? Nie! jak sobie chcecie! Dziwna rzecz! pewnie moja Imość gdzieś tę kartę zakantopiła: oj, bo ta moja Imość!!! To dekret wywodowy mojej rodowitości; mniejsza co on pisze, ale żem szlachcic z antenatów, to tak mi Panie Boże dopomóż! Aha! otoż znalazłem, proszę: w rzeczy samój wyjął Pan Dogacki stary i zawalany szpargał, i złożył na stole sądowym: Prezydent obejrzał tę kartę i dodał oną dziedzicowi; ten również obejrzawszy, tak, rzekł: jest to podpis mojego ojca; pierwszy raz o téj należności slysze, i nigdybyś o niej mospanie tego nie posłyszał, ale potem o tém; a teraz mamże już prawo mówić? Sędziowie dobrodzieje! wstał pan regent i podchodząc do prezydującego rzekł zcicha,

„*a Salarie*”...Mniejsza, odpowiedział ten, formalności spełnią się później: a teraz aby nie szcigać czasu, ma głos pan Dagocki! „Dziękuję mospanie tego! dobrze. Nie mogę ja, sędziowie, gadać tak gładko i po łacinie jak Pan Grzegorz, bo ja w szkole nie bywałem, jak to powiadają, z infimy uciekłem mospanie tego, i zacząłem więc i skończyłem na *haec virga*, a więcéj nic nie pamiętam i nie umiem; ale choć wszystko po prostu opowiem, to przynajmniej prawdziwie i pocziwie, jak i co tu było, i jak nasi przyjaciele zgubili nas; a kiedy komu nie do smaku będzie moja mowa, to niechaj, mospanie tego, nie słucha, niechaj sobie wyjdzie, wszak chwała Bogu na podworzu ciepło. Otoż trzeba wiedzieć panowie Sędziowie dobrodzieje, że po śmierci nieboszczyka podkomo-rzego, pana mojego kochanego, została się nam piękna fortunka, a takich Ich-

mościów których tu dziś tłum, dwóch czy trzech tylko było, i to gwałtem trzymających się klamki pańskiej: bo co rok podkomorzy oddawał im substancją ich, ale z płaczem prosili swego dobrodzieja aby im procencik płacił; dobre panisko nie mógł odmówić, ale jak on zawarł powieki, mospanie tego, został się młody podkomorzyc, zwyczajnie jak młody mospanie, każdemu wierzył, a każdy go oszukiwał. Co spojrzę teraz po tym pokoju, to wszystko mospanie tego przyjaciele nasi, którzy nie proszeni i nie dziękowani zjadali nasze pieczenie, a dziś pożał się Boże!!! Ten sam Pan Grzegorz, który tak tu perorował, wszak to całą krescytywę swoją winien nieboszczykowi podkomorzemu. Zostawszy on niegdyś deputatem wziął go z sobą do Grodna a był natenczas Pan Grzegorz goluteński jak święty turecki mospanie tego; wepchnął

go jakoś tam do palestry i kreował jak najlepiej, aż też zaczął wkrótce porastać w pierze; a teraz syna swego dobroczyńcę, do kozy pakować myśli!!! Ale nie doczeka tego mospanie!” — „Sądzie prześwietny! przerwał pan mecenas, niech stawający kredytor mówi do rzeczy: to jest o swoim długi nie zaś kolumnie osobiste, do interesu wcale nie właściwe!” — Aha! prawda w oczy kole mospanie tego! do rzeczy, do rzeczy będę mówił, ale pamiętaj Jegomość że w długi i interesie Jegomości nie ma rzeczy.... Otoż powiadam panom, że po śmierci podkomorzego hurmem do nas cisnąć się zaczęli rozmaite figury; a Pan Grzegorz jako domowy nasz sługa, zalecił się mospanie tego do podkomorzycy na *totumfackiego* i Konsyliarza. Wszyscy mu zaraz i pan Konsyliarz wmawiać zaczęli, niechaj sam powie kiedy nieprawda, mospa-

nie tego, że on jest wielkim panem; że garściami może pieniądze rozrzucić. Zaraz tedy kredyt zupełny i powszechny: „oddasz pan dobrodziej kiedy zechcesz, każdy mówił, karteczkę tylko dla śmiertelności, i nic więcej;” a to nieszczęście największe dla młodego mospanie; kiedy łatwo pożyczać, to dług rośnie mospanie tego jak na drożdżach. Więc napelniać się zaczęła stajnia nasza końmi rozmaitej maści i denominacyi; psiarnie, dziedzińce i pokoje kundlami różnego kształtu, których teraz nazad przyjmować nie chcą; zwozić tu zaczęto jak do norymberskiego sklepu, rozmaite nam niepotrzebniusięńkie rzeczy: fajki, cybuki, dubeltówki, zegareczki, pierścioneczki, faetony; a za co, naprzód póki stało, szły pieniążki nieboszczyka Podkomorzego, a potem karteczki mospanie tego, które we czworo a może i

w dziesięcioro, Boże odpuść! otaxowawszy swoje towary, brali kochani nasi przyjaciele. Byli i tacy mospanie tego i są teraz tutaj, którzy jakieś pretensye z czasów podobno króla Batorego do nas przypomnieli; postraszyli że będą prawować się, pan Totumfacki nasz zadecydował, że im słusznie się należy; więc w kombinacyę; na połowę po sprawiedliwości mospanie tego, i przecie zgoda; a podkomorzyc nie karteczki już, ale całe karty czy obligi wydawać musiał.— Przychodził co rok święty Jerzy, to każdy z Ichmościów podjeżdżał po procencik: „nie masz pan dobrodziej pieniędzy, to przypisz pan dobrodziej procencik do kapitału, dla śmiertelności mospanie tego; znowu dla śmiertelności tylko!” Oj! będzie śmiertelność fortunie mówiłem ja nie raz i ostrzegałem mego kochanego Podkomo-

rzyca; ale konsyliarz nasz, pan Grzegorz, powiadał zawsze że to nic, że Dagocki stary gdyracz! a pan Baltazar ekonom, którego on na mojem miejscu zarekomendował, i który tu na koniku kusym przyjechał, a teraz oto widzę jak Pers nadęty stoi, i podobno mospanie tego ma nadzieję panem zostać, obiecywał co rok to większe urodzaje i intraty. W takich nadziejach szło wszystko jednostajnie na zgubę, i coraz to gorzej; nie ustawały kupie, handle, borysze, darowizny i hulanki; a zkadże taka gromada butelek? Podkomorzyc nie pijak: sami Ichmość wypili i sami teraz drwią sobie. Powiedz sumiennie panie Grzegorzu, wiele ich sam jak smok wyssałeś?”— Uśmiechnął się sąd, zaśmiała się publiczność, a pan mecenas wyszedł za drzwi. „Była tu prawda i liczna i śliczna ruchomość; były kantyny, serwisy,

sztuce, puhary, słowem mospanie tego, było srebra jak drew: a gdzież to wszystko podziało się? JW. Chorąży dobrodzieju, wzięłeś całą kantynę srebrnego kredensu' na dwanaście osób, za parę szłapaków, jak potem pokazało się, nosatych."—„Te....tego....na-reście....odezwał się zaambarrassowany pan Chorąży; dobrowolnie to.... i w dobrej komitywie.... zatém!....„Nie masz co odpowiedzieć JW. Chorąży, mospanie tego; a srebrny talarami sadzony puhar? Mości Sędzicu dobrodzieju, rzekł obracając się do tłustego, grubego a niskiego jegomościa, którego by na dwóch całych sędziów stało; „Mości Sędzicu mospanie tego, wszak pamiętasz pan jak na imieninach Podkomorzycy, które cztery razy do roku obchodzić mieliście zwyczaj, choć już dobrze podweselony, poszedłeś w zakład o ten puhar że go

duszkciem wychylisz za zdrowie solenizanta; a był to puhar mospanie tego półgarcowy!!! i dokazałeś sztuki, wygrałeś puhar:” Pan Sędzic zajękliwy i zawzięty z natury, wysunął się na przód, przekrzywił okropnie usta i z wysileniem jak z pistoletu wypalił: „pu!... pu!...pu!...pu!... ha a a a arrr, te...te...ten!” śmiech powszechny przerwał panu Sędzicowi. „Nie zająka się tak, mospanie tego, kiedy łyka, podrzucił pan Dagocki, czém rozgniewany jeszcze bardziej pan Sędzic, mocniej zawołał: pu... pu... pu.. pu...h a a arrr!...widząc wszakże że mu dokończyć nie dadzą, bo śmiech coraz się powiększał, zawrócił się nagle i wcisnął się w tłum, gdzie go przyjęto hucznie w około: pu!....pu!....pu!.... pu!... — Tym czasem woźny krzyknął uciszcie się! a Dagocki dalej kończył. „A taratka waszecina panie Baltazarze, czyż nie z kontusza nieboszczyka

Podkomorzego? A krówki nasze! gdzież się na paszę nie rozeszły? W rozmaite strony, za lada pokłonem i prośbą. Nie ma Podkomorzyc tak twardego serca, jak ci co go obdzierali; każdemu chciał dogodzić, każdego ująć, każdemu coś wyświadczyć: czy biednemu, co nie żal, czy nie biednemu a chciwemu, co pożał się Boże! To też wszystko mospanie tego, rozeszło się, rozdało, rozdarowało, z dobrego serca; a teraz ot że masz wdzięczność! Przyjaciele chcą go z biczykiem zfortunki wyprawić. Dobry panicz! poczciwy i rozumny nawet! czyta a czyta książki, nie szuler, nie pijak, a przecież zginął mospanie tego! Cała jego wina że nie miał mocy powiedzieć tego słowa: *nie dam!* albo *won z mego domu!* a wszystkoby inaczej poszło!!! Ale Sędziowie dobrodzieje! jest jeszcze sposób wyratowania się, proszę

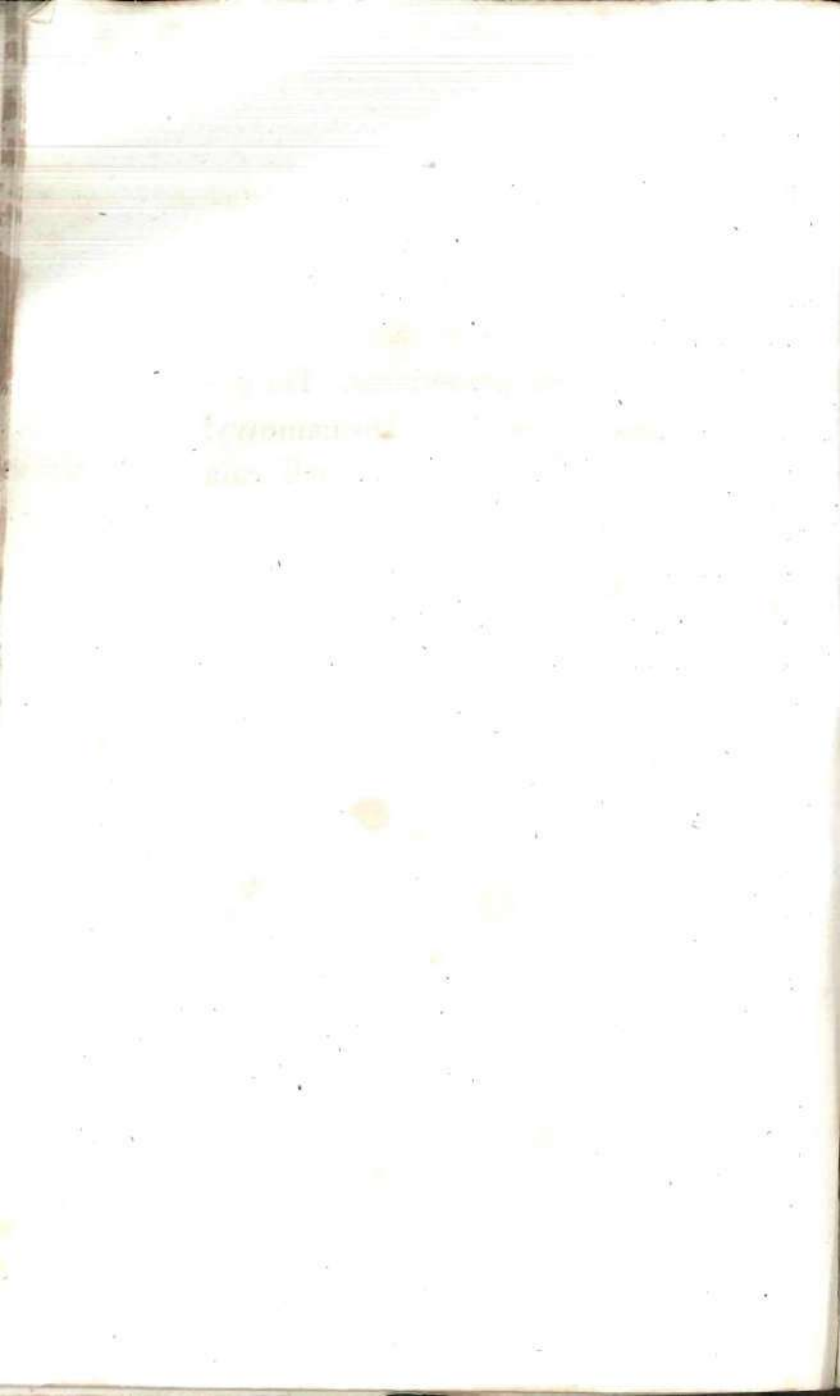
tylko posłuchać.” Jakoż na to wezwwanie natężono uwagę. „Oto niechaj każdy z panów kredytorów, podług Boga i sumnienia *tacto pectore*, jak powiadał nieboszczyk Podkomorzy, to jest pocziwie, po szlachecku, a choćby i pobożywszy się za prawdę, wyzna szczerze wiele pożyczył panu Podkomorzycowi pieniędzy? a wiele?... wiele?... jakby to powiedzieć mospanie tego?—wiele ma u niego na karteczce dla smiertelności, niepożyczywszy gotówki, z facyendy naprzykład? Wiele warte było to co dawał, a wiele taxował dla podkomorzycy? i tak dalej mospanie tego. Po takiej subtrakcyi, w Bogu nadzieja! będzie i wilk syt i koza cała!”... Znowu śmiech powszechny przerwał mowę panu Dagockiemu. „Smiejecie się panowie? macie więc za żart pocziwą radę? więc nie ma zgody? No! to inaczej

poradzę. JW. Chorąży dobrodzieju, dawałeś mi rok temu nazad, stępaka ze siadzeniem, abym tylko wyswatał córeczkę pańską Urszulkę Podkomorzycowi; powiadałeś natenczas: ja kredytorów puszcze z kwitkiem, niech tylko podkomorzyc zapisze mojej Urszulce sto tysięcy złotych. „Swatałem, radziłem, coż poradzisz? kiedy choć ty koł na głowie czesz, ani weź niechce on pańskiej Urszulki. Ale z czasem może się panicz opamięta, mospanie tego, a teraz powiedz pan dobrodziej ten sposób puszczenia z kwitkiem?” .. — „Sądzie prześwietny! przerwał wróciwszy do sali pan mecenas, powtarzam prośbę zwrócenia tego Jegomości do własnego jego interessu; niech mówi o swoich stu talarach, nie zaś o naszych należnościach, które sąd justyfikować będzie.” — „Tak! ozwał się prezydujący, mów panie Dagocki o swoich stu tala-

rach.....—„Aha! Mospanie tego! sto talarów! moich sto talarów! ... To mam wziąć za nie kawałek ziemi, kawał pola które mię tyle lat żywiło? odebrać kawał chleba od syna, którego ojciec mnie chlebem karmił! od dziecka którem na ręku wypiautował?.....Oniechby mnie piorun trzasnął, na tej samej skibie ziemi, rzekł uderzając nogą o podłogę, którąbym wziął za te sto talarów!”— Porwał swój oblig, mocno wzruszonystarzec, ucałował podpis, oddał go, wsunął za nadrę, a resztę pisma podał na szmatki i cisnął na pokój. „Wkrótce mospanie tego, kończył on, a łzy płynęły mu po licach: wkrótce da Pan Bóg złączyć się mnie tam!... z moim kochanym panem; powiem mu, dalibóg powiem: zostawiłeś panie mój pocziwego syna, ale otoczyli go....mospanie tego”!!!—„nie dał mu kończyć również płaczący dziedzic, rzucił mu się na

piersi, całował go z całej duszy, starzec całował go także i sciskał... cała gromada z rozmaitemi twarzami patrzyła na tę rozrzewniającą scenę... Przerwał ją dzwonek prezydenta. Do namowy! zawołał woźny! Do namowy! ruszyła się więc hurmem z sali cała gromada; i zatrzęsął woźny drzwi sądowe, zawierając za nimi los dziedzica, sprawiedliwość sędziów, i nadzieje kredytorów!





OBRAZ V.

S A M O W A R.





S A M O W A R.



„Twoja fortunka choćby i chatka,
Będzie się dobrze wydawać;
Jeśli z sta złotych będzie intratka
A z nich choć dziesięć zostawać: . . .
Lecz gdy ci w głowie wielmożność zaświcci,
Zechcesz żyć huczno, huczno przyjąć gościa;
Jak jegomościem zostałeś z waszeci,
Tak znów waszecią będziesz z jegomością.

§.

KTÓŻ w Litwie nie zna starego Muchina? któryż dom nie ma go przynajmniej raz na rok gościem? od kogoż odlegli od miast mieszkańcy dostają wybornej, lub miernej w miarę jak chcą płacić, herbaty? któż dostarczy ciepłe-

go przed zimą tułuba? smacznego na post kawioru? słodkich dla paniczów i panienek konfitur? na które swoje całoroczne małe, gromadzą dochody: zna on już wszędzie po imieniu każdego, każdego dawnym mianuje przyjacielem, każdemu ma coś do przypomnienia, dla wielu przywozi ukłony i nowiny o zdrowiu od daleko mieszkających krewnych lub przyjaciół: słowem on tu w Litwie, ma pewnie więcej znajomych i dłań uprzejmych niżeli w swej rodzinnej stronie. — Ten tedy Muchin w mroźny styczniowy poranek w wigilią trzech Króli zajechał przed dom folwarczny rozległego zabudowania, którego dziedzie płacąc nieuważnej młodości długi zbankrutował nakoniec; i opuściwszy staroświeckie pradziadów swych gniazdo, popędził się w świat za fortuną która mu z własnego domu uciekła.

Muchin wie czego komu potrzeba; po serdeczném więc przywitaniu się z gospodarzem, gdy mu towary przynieść rozkazano; dobywał tułuby z doskonałych macic dla Jegomości, błamy kotów i okopconych zajęcy dla Imości, a plócienka, rypsy i nienajlepsze perkaliki dla panienek; ale na ten raz Muchin się oszukał: bo Pan Baltazar Sularski w ciągu roku, który przedzielił tu bytność kupca; z ekonoma, został właścicielem części majątku rozdzielonego między dłużników rozrzutnego dziedzica, któremu własne jego dochody pożyczając jak swoje, naliczył sobie należność, i za nią usadowił się wiecznóm a wilczém prawem na folwarku gdzie wprzód ekonomską zajmował gospodę. W przeszłym jeszcze roku Muchin nic już w pałacu a wiele na folwarku utargowawszy poznał na co się zanosi i przepowiedział zły koniec

diedzicowi, i dla tego prosto już teraz przed folwark zajechał. Wniosłszy do izby towary, postrzegł w niej niejakie odmiany, była na nowo wybielona, na miejscu zédła stała kanapa, którą on niegdyś w pokojach dziedzica widział; przed nią stolik czeczotkowy, kilka krzeseł około stolika; na ścianach na miejscu pobożnych obrasków, cztery pory roku, *Vénus à la Titien*, i historia syna marnotrawnego: ha! pomyślił stary lis, coś tu inszego pokazać przyjdzie; jakoż z oburzeniem odrzuciła imosć i panienki wszystko co przyniosł, a Jegomość objaśnił zadumienie Muchina wykrzykując w pełności ukątentowanej miłości własnej: „Ja tu już pan! panie Muchin, ja pan! djabli wzięli mego pana! Podkomorzycza: a teraz ja tu pan! — *No pozdrawlajem! pozdrawlajem* rzekł Muchin; napijemy się wódeczki za zdrowie pańskie! to

dobrze! to wyśmienicie! *ja etomu oczeń rad!* I imość konchanińka! i panienki *tepier barysznie! eto charaszo! eto oczeń charaszo!* Tym czasem mruknął kilka słów niezrozumiałych towarzyszowi, a gdy ten zabierał wszystkie towary i wnosił, Muchin wyliczał długi regestr innych, przy każdym dodając zalety, i nazwiska kupujących; gdy wspomniał czaj i samowary, Panna Salomea starsza córka Ichmość gospodarczy, podskoczyła raźnie jakby starego muchina pocałować chciała! ach! samowary Papuniu Samowar i czaju: wszak to wszędzie piją herbatę z rana i wieczorem nawet, a my tylko jedni lipowym kwiatem i dziewanną dusić się musimy: papa dalibóg musisz kupić Samowar: czy Pan Bóg Papie nie dał, chwała Bogu teraz i majątku? czy nie ma za co? Ej! co tam bredzisz ofuknął się Jegomość: idź precz z tym swoim Samowarem; ot

napijemy się z pocziwym Muchinem
żytniej herbaty, to lepiej będzie; do
Wac Pana Panie Muchin — Salomeja
widząc, że idąc tak otwartą drogą nie
trafi do celu, pociągnęła nieznacznie
mamę za suknią, weszła do alkierza, a
zanią i Mama: tam z płaczem przełożyła
mamuni, że nigdy za mąż nie wyjdzie,
kiedy tak, rzekła, żyć będziemy jak
dotąd: bo nikt nie bywa u nas, więc
któż nas obaczy? a choćby kto i przy-
jechał czy my poludzku przyjmujemy:
ot Pan Assesor może i do prawdy ma się
do mnie, bo nieraz powtarza że mnie
kocha; ale cóż? kiedy jak tu przyjedzie,
to Jegomość wita go pierwszém słowem:
„Ja podatki opłaciłem” — traktuje potém
prostą wódką, a dla koni nie daje obro-
ku: i czy mało ktoby się zdarzył.. Nu
dakco? przerwała mama chcąc dopo-
modz losowi córeczki, czegoż trzeba?
trzeba mamó kupić samowar i herbaty,

mieć czém przyjąć i potraktować gości! czy mama nie potrafi jak i drugie gospodynie zasiąść pięknie za stolikiem, nalewać herbatę i prowadzić rozmowę? czy mama nie widziała ludzi i świata?.... da to prawda, czy mało gdzie ja była, i czy mało co widziała!!! Salomeja tym sposobem wzruszywszy w sercu mamy i miłość rodzicielską i miłość własną, była pewną swojego— Niechajże mama idzie dodała całując jęj rękę i niech Jegomość kupi Samowar; da kupi, pewnie kupi, rzekła mama i obie wyszły z alkierza. — Pan Sularski tymczasem potrójną odbywszy z flaszki kolejkę z Muchinem dobił targu o tulub, i wnet się weń ustroiwszy przechadzał się rozkosznie po izbie podejmując go u pasa obiema rękami w górę, bo był zadługim na niską i krępą figurę Jegomości; a co duszko? widzisz w jakim ja sobie tulubie? powlekę go sukmem i dam

kołnierz ze starej *miedźwiedni* nieboszczyka Podkomorzego, którą na licytacji w czasie exdywizyi kupilem, ot będę miał i *miedźwiedzie*: da mniejsza o twoje miedźwiedzie! ot waszeć Jegomość (bo Pani Sularska dla której przez lat 30 mężulo był *waszecią*, trudno do Jegomością przywyknąć mogła, i najczęściej etykietalne i nałogowe zwanie męża razem łączyła) ot waszeć Jegomość kup lepiej *Samowar* i *herbaty*! — czy znowu z Samowarem? na co tobie duszko on potrzebny? ja piję z rana wódkę i ty czasami mnie pomagasz; no i kawę zgotujesz kiedy jaki Mości Pan przywlecze się; córki niech piją mleko, niechaj sobie i dziewannę z miodem.... ot waszeć bałamucisz przerwała Imość i po wszystkiém: chcesz gdyby ciebie ludzie znali, chcesz córki za mąż powydawać, a niechcesz żyć jak ludzie! Papa wszak mówił onegdaj odezwała się po-

kornie Salomeja, że chce zostać Sędzią Granicznym — Ale Sędzią! a czy ten Samowar zrobi mię Sędzią? Poparł całą swą wymową żądanie Imości i Panienki Muchin, jeszcze razy ze trzy Imość traktowała go wódeczką, a za każdym razem Muchin podwyższał cenę Samowaru obawiając się aby udobruchawszy się nie zapomniał się i nie stracił na przedłużonym targu: nakoniec Jegomość *volens nolens* uległ rozkazom żony, proźbom córki, i radom Muchina; który odebrawszy podwójną wartość Samowaru zaniósł go z poważną i pontyfikalną miną na stolik w kącie jakby umyślnie na przyjęcie dostojnego a błyszczącego gościa przygotowany: funt herbaty dopełnił reszty kupi, i Pan Sularski ostatnią z Muchinem z flaszki wychyliwszy kroplę; po kilkakrotném zapewnieniu kupca że nigdy nie minie tak *czesnych* gospodarzy rozstali się wzajemnie z siebie kontenci.

Nie mogła się nacieszyć Panna Salomea z nowego naczynia! ustawiała go rozmaicie na stoliku, przypatrywała mu się z siostrami i braciszkiem Mateuszkiem, i zdaleka i zbliska; rozbie-rała go na części, exenterowała we-wnątrz, ale zawsze w duchu przyznać musiała, że ani sama, ani nikt w domu nie wiedział jak postąpić aby przygo-tować herbatę na Samowarze: nagle myśl ją wielka objęła! jutro imieniny papy!!! jutro... i znowu skoczyła pę-đem i znowu pociągnęła mamę za su-knię do alkierza.

Wiesz co mammo? nu dak co?—ju-tro imieniny Jegomości, Trzech Króli; Kasper, Melchior i Baltazar!—aha! nu dak co? zrobim mammo siurpryzę! co to jest siurpryzę? czy to pieczono czy go-towano? może wiele trzeba jajek i ma-sła? a tu niema: a może jeszcze czego i z kramów?— ale nie mammo! nie!— wa-

szeć Salomciu nie potrzebnie u Pani Sędzinej nauczyłaś się pańskich fumow! my szlachta, na co nam to potrzebnie! tak daj pokoj tym syr.... sur.... jak tam gadasz! ale mamie to niepotrawa, to co innego! — nu dak co? — To znaczy, że mimo wiedzy Jegomościnej zaprosimy na jutro gości, wydamy herbatę z Samowara, i obejdziemy imieniny papy, siurpryza znaczy to, że Jegomość tego się nie spodziewa, i wiedzieć o tym nie powinien: nu dak co? dak trzeba powiedzieć Jegomościu? zniecierpliwiona córka taką niewyrozumiałością mamy, ale co Imości dzieje się rzekła i zaczęła obszerniej i jak można najjaśniej tłumaczyć swoje plany, a że na końcu matka nie powtórzyła swojego nu dak co? więc milczenie wzięwszy za zgodę i wyrozumienie wyszła z alkierza Panna Salomea i do dalszych zabrała się na jutrzejszą fetę przysposobień.

W opustoszałym gmachu pozostałym dziedzicowi od rozdzielonych obszernych wiosek, jakby na pomnik grobowy dostatniej jego przedtém fortuny, mieszkało jeszcze dwóch sług jego: stary Michał kucharz jeszcze dziadowski, duszą i sercem przywiązany do rodziny panów swoich, których trzem pokoleniom wiernie służył; płacząc on codzień nad zniszczeniem ostatniego swego Pana, którego na ręku wypia-stował, pilnował ścian pałacu, i zazierał niekiedy do kuchni rozmyślając sam o przyszłości z uczuciem takiém, z jakim stary wojownik przegląda na pola które niegdyś były placem jego tryumfów: nienawidział on Sularskich, bo znał że oni przyspieszyli ruinę Panicza, i podzielał tę nienawiść ze współmieszkańcem swoim Józefem, niegdyś lokajem, kamerdynerem, i faworytem

Panicza: ten włóczęgę z Panem po miastach, dworach i miasteczkach przejął obyczaje i manierę sługom wielkich Panów właściwą, to jest grubijaństwo i zarozumiałość dla niższych, a usłużność i filuteryę dla wyższych stanów; niecierpiał także Sularskich, bo gdy dawniej odnosząc im często rozkazy Pańskie połajał ekonoma, zniósł on to cierpliwie i jeszcze Imość nieraz Pana Józefa na śmietanę zaprosiła; a teraz Sularski kwietując za swoje nie raz eleganta Józefa chamem nazwać odważył się i stu bizunami grożąc, dodawał „odpowiem Panu twojemu i zapłacę „mu, bo taki on hołysz jak i ty” oba zaś słudzy jak Izraelici Messyasza, tak czekali powrotu swojego Pana: wraz po exdywizyi pojechał on do bogatego a bezdzietnego stryja swojego, którego jedynym był dziedzicem, z nadzieją możnego odeń wsparcia i powrotu z pie-

niędzmi do fortuny, a zatém ze sposobnością wyrugowania z niej nowych jej posiadaczów.

Wieczorem w dniu bytności Muchina w jednym z pokojów pałacu, stary Michał siedząc w milczeniu, wiązał siatkę, bardziej z nałogu niżeli z potrzeby, staw bowiem ryb pełny należał do Pana Sularskiego; zażywał przytym często tobakę, kiwał głową i wzdychał kiedy niekiedy: Józef w ostatkach niegdyś sajetowego surduta, poprawiał ożogiem ogień w piecyku, palił fajkę z długiego pańskiego cybuka, i przewalając się na łóżku prawił Michałowi androny o swoich dowcipnych sztukach w Warszawie, w Wilnie i wszędzie gdzie bywał, wydarzonych: za każdym nowém jego kłamstwem, Michał kiwał głową i zażywał tobakę; a w tym weszła Panna Salomea do izby.

Dobry wieczor Michale! dobry wie-

czor Józefie! nieodpowiadając na komplement Michał, a prosto zawsze znie-
 rzający do interesu, a czego Waćpanna
 chcesz? zapytał, przysłam mój kochany
 Michale prosić u was jednej rzeczy!—
 jakiej rzeczy? my z łaski waćpaństwa
 żadnej już rzeczy nie mamy: stoły, stolki,
 krzesła i kanapy, wszystko a wszystko
 zabraliście, siedzicie, jecie, spicie, na na-
 szych rzeczach!!! Niech wam Pan Bóg....
 zatrzymał się stary.... grzech przeklinać
 pomyślał, dokończył więc odmieniając
 przekląstwo na życzenie, nie zupełnie
 wszakże życzliwém bydź mogące: niech
 wam Pan Bóg po sprawiedliwości do-
 pomoże! czegoż waćpanna chcesz?—
 Panna Salomea zaróżowała się ponsowo
 na tę apostrofę staruszka, jednak cier-
 pliwie zniosłszy: nie oto idzie kochany
 Michale, rzekła, ja nic brać od was nie-
 chcę, ale przysłam prosić abyście mię
 nauczyli jednej rzeczy; grzeczniejszy Jó-

zef od Michała wstał przecież z łóżka i zapytał: czegoż takiego chce panienska nauczyć się od nas? mój papa kupił dziś od Muchina Samowar!—Ehe! już i Samowar od Muchina, lepiejby kupił garnków od Ławryna, mruknął uszczypliwy Józef: znowu rumieniec oblał piękną buzię Salomei, ale jakby nie słyszała gorzkiego konceptu, kończyła; ja wcale tego niechciałam, bo na co to nam potrzebne, ale cóż? ojciec uparł się i kupił; otoż proszę kochany Panie Józefie naucz mię jak robić herbatę na samowarze: Harbatę na Samowarze? powtórzył niedbale Pan Józef, poprawiając znowu ożogiem w piecu, to wielki zachod!—Zdaje się że nie tak bardzo, ot wszak tu jest ogień i żar, ja każę przynieść samowar, a Józef tak będziesz dobry że mnie dokażesz jak co zrobić? będę starać się odsłużyć tę łaskę Panu Józefowi: — a dla czegoż koniecznie dziś?

już późno, węgle nie wypalone, będzie czad, pochorujem na głowy, i nic więcej: niechaj którego tam dnia innego, to obaczemy:— ale bo mój Józefie, ale bo widzisz.... Panna Salomea niechciała powiedzieć przyczyny pośpiechu, lecz niebyło innego sposobu zobowiązania Józefa, więc odważyła się nakoniec; bo widzisz mój kochany Józefie jutro Trzech Króli: aha! jutro trzech Króli, odezwał się Michał, wielkie święto! nieboszczyk Pan stary, niech Bóg świeci nad duszą jego, zawsze w wigilią Trzech Króli pisał sam swoją ręką kredą jakieś święte litery na każdych drzwiach; i powiadał, wtedy biada nie wejdzie: i chwała Bogu za jego czasów nie weszła: ale po nim nikt liter niepisał i.... tu zażył mocno tabaki; pokiwał głową, westchnął głęboko, i znowu siatkę wiązał spokojnie: dowcipna Salomea wnet schwyciła za węgiel i rada, że się przypodoba sta-

remu, ja kochany Michale, rzekła, tym czasem choć węglem napiszę na waszych drzwiach te trzy litery: właśnie tylko co ojciec napisał toż samo i u nas, a jutro przyjdę z kredą i przepiszę: nie szpetną więc rączką ujawszy delikatnie aby się nie umazać węgielek napisała Salomea na drzwiach wielkie C. M. B. Michał trzymając iglicę w niedowiązaném oku siatki, patrzył na piszącą; ciekaw Waćpanna jeszcze niewszystko rzekł: Jegomość nieboszczyk kładł krzyżyki między literami; Salomeja podjęła węgielek i położyła krzyżyki: nu teraz dobrze, daj Boże Waćpannie zdrowia, i męża da Pan Bóg kiedy nosów w górę zadzierać nie będziecie, jak zaczynacie: cierpliwa Panienska, znowu do Józefa się obróciła i rozumiejąc że zapomniał o zaczętej powieści; więc że kochany Józefie nauczysz mię zaraz o co cię proszę? ale Józef chciał wyczerpać do dna przy-

czyny i zamiary Panny Ekonomówny, domyślał się bowiem czegoś nadzwyczajnego, i postanowił albo dobrze ze zręczności skorzystać albo odpłacić znakomitym figlem za niegrzeczne przegróżki Sularskiego: a cóż Panienska zaczęłaś mówić o jutrzejszych Trzech Krolach i niekończysz? dla czegoż koniecznie jutro potrzeba herbaty z Samowaru? czy będą goście jacy? — Otoż to widzisz kochany Józefie, jutro imieniny papy: jakiej papy odezwał się znowu Michał, papa to chleb; a kiedyż to imieniny chleba? — nie Michale! to imieniny naszego ojca, wiesz że jemu imie Baltazar; a teraz to zwyczajnie ojca, dzieci nazywają papą! — dawniej odpowie Michał, dzieci chleb nazywali papą, a ojca tatulą; ale to wszystko jedno, zawszeż ojciec dzieci swoje chlebem karmi, więc i to papa i to papa: po tej moralnej uwadze znowu Michał siatkę wiązał: — otoż

mój kochany Józefie może jutro ktoś zdarzy się do nas, toby ojciec był rad gdyby dać herbatę z kupionego Samowara: a ktoż może się zdarzyć? chyba zaprosicie kogokolwiek sami: Mama podobno ma poprosić z kościoła na podwieczórek i na herbatę Panią Sędzinę z córkami; podobno będzie Pan Assessor i jeszcze tam ktokolwiek może:— a to co innego, to będą huczne imieniny Pana Sularskiego; no! to sprawiedliwie, trzeba dać herbatę z Samowara:— więc Józefie ja pobiegnę po Samowar:— na co to potrzebne! jutro jak się zbiorą goście, Panienska daj mi znać, ja przyjdę do piekarni i tam wszystko należycie urządzę: ale bo mój kochany Józefie jak czasem jutro w domu niebędziecie a my naprosimy gości!— kiedy ja Paniencie daję słowo że nigdzie nieoddalę się i będę czekał tu na miejscu, bądź Panienska spokojna!— zmiłuj się kochany Józefie!

i sam herbaty się napijesz, i podwieczórkiem potraktujemy, i jeszcze postaram się chusteczki jakiej na szyję dla Józefa. Nu dobrze, dobrze, idź Wacpanna spać, a jutro wszystko pójdzie jak najwyśmieniciej: niedowierzając Panna Salomea szalbierskiemu uśmiechowi Pana Józefa jeszcze mu powtarzając proźby raz i drugi dygnęła, po uroczystych nakoniec zaręczeniach poszła do domu zostawując Michała już drzemiącego, a Józefa zamyślonego nad wyborem swego jutrzejszego postępowania. Ważył on na jednej stronie zyski swoje: podwieczórek! Herbata! i chusteczka! na drugiej śmiech, wstyd, i złość dla Sularskich; ważył, rozważał, miarkował;— i jak to najczęściej bywa na świecie w wyższych i niższych stanach zło przeważało, zasnął więc wybierając tylko sposoby swój zemsty.

§§§.

Nakryto pięknie stolik, a zebrani liczni goście obsiedli go do koło; imienniki Sularskiego wybornie obchodzono. Pani Sędzina prima donna téj fety, z trzema córeczkami rówiennicami w wieku trzech panien Sularskich w wybornym była humorze! Pan Assessor zalecający się naprzemian to do starszej Panny Sędzianki, to do starszej Panny bywszej Ekonomówny, znajomiej nam Panny Salomei, w wybornym był humorze: jego sekretarz, człek tłustych policzków i bogatego wása pogładający z rokoszą na sporą karafkę czerwonej cieczy w rezerwie na kominiku stojącą, wróżąc jój smakowity wkrótce użytek, w wybornym był humorze: Pan Komornik byłej tu exdywizyi, przybyły po resztę od kupca doliczanych solariów i odebrawszy je od Pana Sularskiego z sowitością, w wy-

bornym był humorze. Sam Jegomość Dobrodziej gospodarz i solenizant w nową czarną suto taśmami oszemerowaną był odziany węgierkę, szeroka jedwabna zielona na szyi chustka, w długich końcach spadała mu niedbale na piersi i łączyła się z łańcużkiem od zegarka za nadrę wepchniętym, a tym sposobem, grubo-płaska figura Jegomości na dwie szerokie połowy bławatno złocistą w zdłuż się przedzielała pręgą — grzeczni goście w niedostatku koniecznego dlań tytułu, nazywali go bez różnicy to Skarbnikiem, to Rotmistrzem — ustrojony więc i utytułowany Pan Sularski w wybornym był humorze. Jejmość nakoniec pogładając z roskoszą na swoje trzy pociechy, rzeczywiście piękniejsze od trzech Panien Sędzianek, podchodziła do Jegomości i szepcząc mu na ucho, tę sprawiedliwą swój radości przyczynę, gładziła go pod brodę i ze

szczególniejszém przymileniem pytała pomrukiwającego mężula: „Nu dak coż Duszko? Nu dak co? a to oznaczało wyraźnie że w wyborzym była humo-rze! A tak cała zebrana czereda w najpiękniejszém usposobieniu około stolika jakim to powiedział osiadła.

Tym czasem Józef dotrzymując wczorajszej obietnicy za daniem mu hasła przystawił się naprzeciwek i już od półgodziny z młotkiem pracował około samowaru; dowodząc Pannie Salomei że zepsuty samowar kupiono, że go klinować i naprawiać musi: samowar był wyśmienity i cały; na co zaś ten ladaco godził, skutek to potém okazał! lecz nie uprzedzajmy w opowiadaniu kolei, ważnych dnia tego wypadków!!!

Dwoma przeciwnemi sobie elementami wodą i ogniem napełniony samowar, wzniosł oburącz Józef i powolny proźbie Panny Salomei, zadarłszy jak

najwyżej swój nos w górę, raczył wnieść do pokoju i postawić wśród gości na stoliku to nieszczęściem brzemienne naczynie. Natychmiast Salunia z niewymownym wdziękiem piękną swą rączką na wierzchołek kurzącego się komina *czajnik* wzniosła.

O dziewico! dla czegoż tyle wiesz o sile pary, ile przed stu laty najwięksi filozofowie wiedzieli! dla czegoż nie wiesz że ona dziś pędzi okręta przez morza, pędzi wódkę w browarach! że hamowana rozrywa! ale dziewica siedzi najspokojniej przy Panu Assesorze i nim w czajniku herbata naciągnie, słucha z miłym uśmiechem jego duserów.

Kipi war, syczy, niecierpliwie mocując przybitém wiekiem: czas nalewać herbatę odezwała się Pani Sędzi-
na: Panna Salomea powstaje i chceując czajnik; Pan Sekretarz ujmuje za butelkę czerwonej cieczy.....a w tym...

..zrywa się wieko samowara i ulatując do góry wywraca imbryk, który spada na głowę kochanego pieszczołki Mateuszka i gorącą go po twarzy i uszach oblewa herbata; wierzch spadając trafia na łysinę papuni który jęczącém oj! oj! oj! zawtórował wrzaskiem dziecięcia; tym czasem nagle uwolniony war prysknąwszy gwałtownie na oczy, twarze, nosy i gorse osiadłój około i zamoderowanój męzkiego, żeńskiego, i nijakiego rodzaju gawiedzi; jak lawa z krateru gorącemi potokami się rozlał: na dobitkę w powszechném zamieszaniu i wrzasku ktoś trącił nieostróżnie, modny na jednéj nożce stolik — wywraca się samowar i raptem półwiadrem waru podlewa obróconych tyłem do stolika Panią Sędzinę i Pana Komornika a Panu Assesorowi ocierającemu właśnie trzewiczki na sparzonéj nożce Panny Salomei w gęstą czuprynę

gorącego z żarem zasypuje popiołu. Tu zgiełk i krzyki przeszły wyobrażenie — wszyscy jednym popędem skoczyli do bokówki uciekając od piekielnego ogniem i warem buchającego smoka; lecz Assesor z kurzącą się czupryną wyleciał do sieni i krzyknął: *palim się!* Na to słowo przerażeni w bokówce rzucają się gwałtem do okna, w mgnieniu oka wyparte z uszaków i pobite otworzyło wolny przestwór, przez który cisnąc się jedno przez drugiego cała kompania nakoniec w wysokiej hurbie śniegu tuż pod ścianą osiadła!!! Niech mi daruje przeczacne towarzystwo w śniegu uwięzłe, gdy powiem że nie jęczało nie krzyczało, lecz naksztalt ruj wilków około Gromnic zebranych, różnemi głosami wyło: a co najgorsza, że jak prawie zawsze i wszędzie w złej doli, niezgoda wszczyna się między nieszczęśliwymi, tak i tu Pani Sędzina, poczęła

łajając Panią Sularską, po razy kilka ją przeklętą Ekonomową nazywając: można było darować tak boleśnie podlanej Sędziniej, i Pani Sularska skłonna być się okazała do puszczenia płazem obelgi, bo tylko zawołała: Nu dak co? że Ekonomowa! nu dak co? Ale Panna Salomea obok matki w hurbie siedząca, wcale niegrzecznym sposobem pomściła się za mamę wykrzykując: ach! Wacpani Sędzina! osobliwość! Sędzina! osobliwość! — i byłoby dalej zaszło, lecz wybiegła czeladź, a na jej czele z zalanym pożarem na głowie Assessor i Sekretarz jego z butelką czerwonej cieczy w ręku, którą arcy-prytomnie z powszechnego uratował zniszczenia. Wydobyto niektórych, niektórzy sami wybrnęli i powracano do pokoju: nikt nie był bez szwanku, każdy oparzony lub opalony złorzeczył i przeklinał; Imościanki piszcząc i pła-

cząc z bólu, pytały się wszelako jedna drugiej, czy zblakują oblane sukienki? — proszę tu ufać losowi! przed chwilą wszystko było wesoło!!!

Sam Jegomość złapał czającego się za piekarnią Józefa i całą winę nań zwałając, chciał pójść z nim w tuzy; retyrujący się Józef oskarżył Pannę Salomeę: „jam panienkę nauczył jak postępować „z samowarem, cóż ja winienem?” usprawiedliwiony Józef uciekł, a Jegomość wpadłszy z zakrwawioną łysiną do sieni, jednym zamachem dwa smagłe policzki wyciął po pięknej buzi Salomei; ledwo drugiego dokończył, gdy bolesny w plecy kulak dał mu uczuć, że córka ma mścicielkę w mamuni, chciał więc i żonę aplaudować zapamiętały Sularski, lecz Pan Komornik stanął w obronie? —

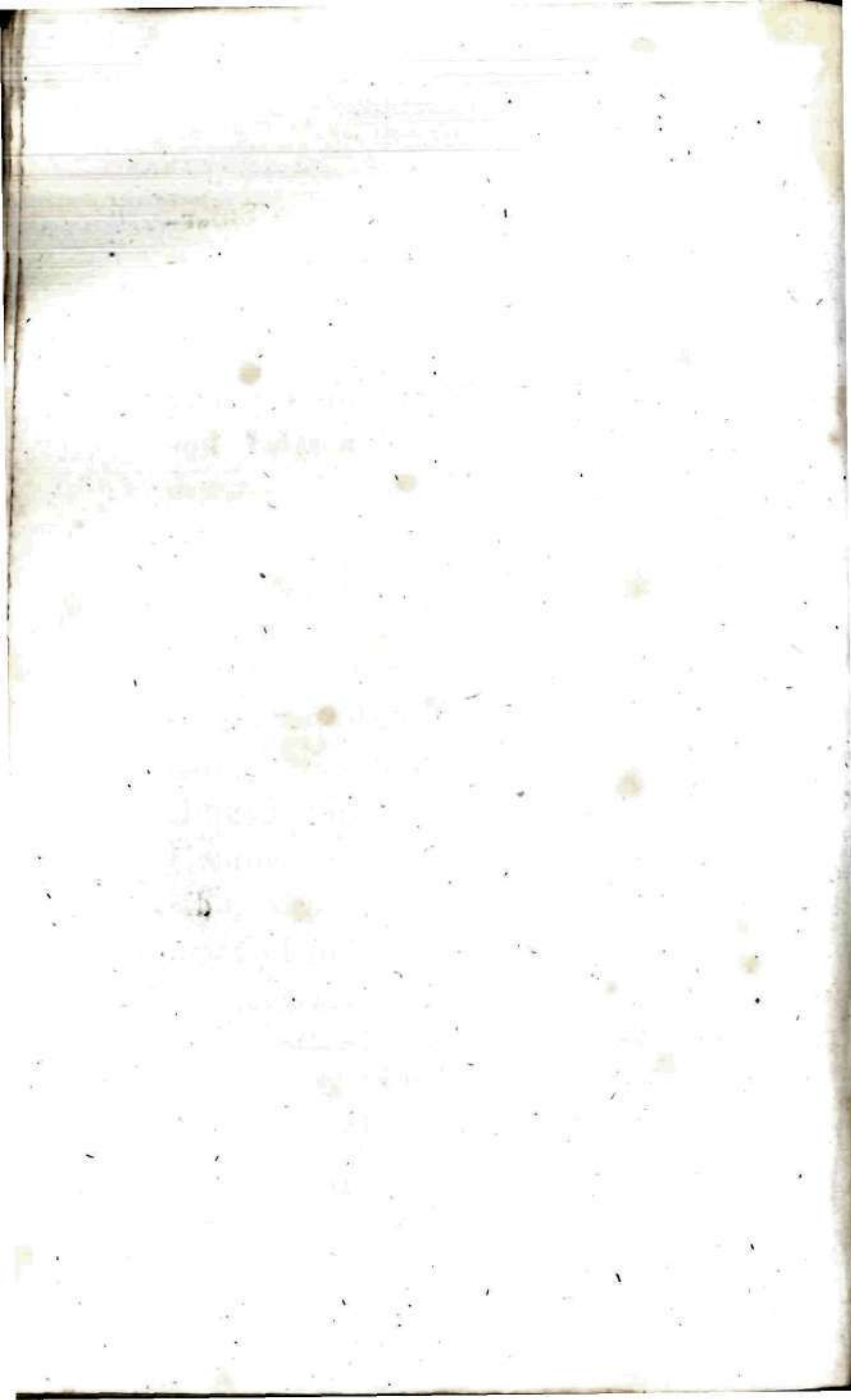
Owoż naprzekor wszystko prawie powieściom kończącym się pospolicie weselem, moja kończy się *niewese-*

lem — bo katastrofa taka zniweczyła wszelkie nadzieje Panny Salomei z oświadczeń Pana Assessora powzięte, a które świetnym obchodem imienin papy, i wyniesieniem się nad dotychczasową ekonomiczną sferę, ugruntować chciała. Chociaż bowiem po najrychlejszym odjeździe rozgniewanej Sędziniej i dalszej kompanii, Pan Assessor z Sekretarzem i Komornikiem, powodem uratowanej czerwonej cieczy zostali, i ona z udobruchanym gospodarzem do ostatniej wysuszyli kropli; wszelak uległa tak sowitzkiej konfuzji Panna Salomea nie pokazała się więcej. Nu dak co? że ojciec ciebie szturchnął! nu dak cóż? dla tego to nie! ot tylko wstań i wyjdź zaraz; mówiła do niej matka w alkierzu. Na tę rozsądną radę Salomea odwróciła się tylko do ściany i mocniej stękać zaczęła: a tym czasem i Pan Assessor wyjechał, zabrawszy

z sobą samowar, który mu Pan Sularski jako przyczynę wszystkich kłopotów, z ukontentowaniem darował.

Gdzież oryginały? zapytasz czytelniku, dla którychby powiastka ta za obrok duchowny służyć mogła? komużby ją poświęcić, i że tak powiem przypisać należało? — Ach zejdź czytelniku do wielkich niegdyś hrabstw naszych, na malutkie dziś przez exdywizye porozdzielanych cząstki, zejdź do tych kilkochatkowych panków, pragnących piąć się jak kilkodziesiątni; iluż tam Sularskich? ileż Panien Salomeek najdziesz!!! im więc to poświęcam moją powiastkę, z wróżbą niechybną w godle i z sensem moralnym w takim Epilogu.

„Gdy cię los w niskim pomieścił stanie,
 „Zbytkiem się nie unosź zdrożnym —
 „Lepiej bydź dobrym Mospanie,
 „Niżeli śmiesznym Wielmożnym.



OBRAZ VI.
POWRÓT DZIEDZICA.



POWRÓT DZIEDZICA.



nie pogardzaj ubogiego,
szanuj wszystkie stany;
Poznaj w chłopku brata twego,
A będziesz kochany.

Krakowiały i Górale.

NIE DALEKO od opisywanego w poprzedzających obrazach dworu, jest wioseczka od chat kilkunastu, w przyjemnym i wygodnym położeniu osadzona. Mieszkaniec wsi, rolnik, przyjaciel włościan, który często obcuje z nimi jak z braćmi swymi, który z upodobaniem mieszkania ich i gospodarstwa nawiedza, zna to miłe uczucie, jakie

nas ogarnia, gdy się schludne, dobrze obudowane i wesołe przechodzi sioło; serce się pochyla ku niskim strzechom, rozumie że tam siedlisko spokojnej doli; myśl pokrzepia się i zasila prostym wyrazem poczciwego włościanina, tak, jak znarowiony zbytami żołądek zasila się i pokrzepia łyżką prostej strawy z piekarni, i kawalkiem razowego chleba. Nie potrzeba dręczyć wyobraźni na urojone opisy pasterskich sielanek i wiesniaczych chatek, aby miłe i życzliwe dla nich obudzać uczucia. Rzeczywistość bez przesady, obrazy włościańskich obyczajów z natury wzięte, sercu skłonnemu do czystych, wiejskich, spokojnych roskoszy, równie upodobanemi będą, a słodsze w niém i głębsze, bo prawdziwe obudzą wrażenia.

Oto masz dziedzińczyk dookoła zabudowany domostwem, w którym mieści się dobytek i zamożna chudoba

gospodarza; z chlewa ci kilka pięknych wynidzie krówek; za niemi poważne suną kroki dwa woły, jakby młodszego rodzeństwa opiekuny; a względem pana swojego jak starzy pracy jego i mozołu na polu współnicy i towarzysze. Z innej zagrody z boku, wybiegają gromadną stadą owce, i tłusta maciora liczne swe wyprowadza potomstwo; wszystko to zmierza na środek dziedzińca ku studni, przy której mały chłopczyk trzyma na powodzie ulubionego konika, i z której hoża młodziśca lub rażna dziewczka wyciąga wodę, i jak Rachel pojąca trzodę Labana ojca swojego, rozlewa oną dla swych krówek i wszelakiego otaczającego studnię żywiołu.

W końcu dziedzińca są wrota na gumnisko. Żadna murawa w pięknych naszych parterach wypieszczona, nie przewyższy świeżością i powabem mu-

rawy gumniska porządneho (a tylko o porządnym tu mowa) włoscianina. To miejsce jego niedzielnego wypoczynku, w czasie letnich skwarów, pod cieniem kilku brzoź lub klonów rozposcierających tam najczęściej stare i gęste konary; to miękkie posłanie po którym koczują i tarzają się swawolne chłopięta, albo też spadają na nie bezpiecznie z przepłotu lub strzechy, gdy po wróblegniazda pną się tam nieostroźnie. Otwarta obok i zielonem sianem napełniona odryna, rozlewa w powietrzu miły aromatyczny zapach, komuż nieznamy! Ileż razy myśliwy po dziennych trudach, albo podróżny unikający niewygody karczemnej, znalazł w wiejskiej odrynie luksusny nocleg i miękkie posłanie, a oddychając wonnym aromatem poił się snem błogim i spokojnym, w którym ciało nowój ezerstwości i siły, umysł swobody, we-

sołości i nowej miłości życia nabrały!!!
 Osobno zagrodzony ogródek zajmuje
 część gumniska, kilkanaście jabłoni,
 gruszi wiśni, kilka krzaków pięknej kali-
 ny i kilka grządek nagietek na niedzielne
 kapturów i namiotek ozdoby, rozkwita
 razem, buja, i karmi tam liczne familije
 pszczołek, w kilkudziesięciu a często i
 w kilku kopach ulów pomieszczonych;
 brzęczą one swobodnie po ogródku, po
 drzewach, po nagietkach i po osielicy (*)
 tuż za gumniskiem gęstą trawą i pol-
 ném kwieciami zarosłej, a rozciągają-
 cej się popolicie aż do granicy posia-
 dłości chłopka; szczęśliwego, jeżeli na-
 tura dała mu poczciwość i pracow-
 tość, a los szlachetnego pana w udziale.

Z takich gospodarzy składała się
 wiosieczka, niegdyś do młodego dzie-
 dzica, a po upadku jego do kilku róż-
 nych właścicieli należna. Bystry stru-

(*) *Osielica* łąka ogrodowa tuż za chatą gospodarza leżąca.

mień w głębokim parowie przerzynał ją; na nim most, a przy moście na wzgórzu, jakby opasły ekonom wśród czeladzi, lub jakby strażnik dogładający przeprawy, wznosił się ogromny exdywizorski kopiec, na którym, jak Maryusz na ruinach Kartaginy, siadywał często i odpoczywał stary Michał, gdy przechodził do wsi, przynosząc kumom i swatom starym jak on, i jak on przywiązanym do familii dawnego dziedzica, nowiny obwieszczające bliski powrót onego, a zatém odmiany pomyslnie dla wszystkich.

Dwor, który znamy już cokolwiek, bośmy go w smutnej godzinie exdywizyi przeglądali, przybierał teraz postać i szatę nową. Kilkunastu rzemieślników pracowało tam od niejakiego czasu. Stolarze układali posadzki, odmieniali drzwi i okna; mularze przestawiali piece; malarz sufity i ściany w piękne stroił ara-

beski; słowem razem wszyscy pracując, ożywili pusty niedawno i zrujnowany dom ten. Pomiędzy nimi z wielką miną, niekiedy paląc wspaniale fajkę, niekiedy przygwizdując lub rozmawiając poufale, przechadzał się znajomy nam figlarz Pan Józef, pochwalając jednych, zachęcając drugich, a wszystkim dając do zrozumienia że i zaleta i nagana od jego najwięcej zawisła.

Kiedy niekiedy Pan Baltazar Sularski, widząc ruch taki w budynku, i chcąc się dowiedzieć przyczyny, a wyciągnąć konsekwencye, przychodził tam z folwarku niby nawiasem: ale rzemieślnicy nic nie wiedzieli a z Józefem trudna sprawa! Gdy wchodził Sularski on zadzierał nos w górę, przechadzał się wspaniale i gwizdał. Dzień dobry Panie Józefie! zagabnął raz Sularski.—Aha! odpowiedział Józef patrząc na malarza siedzącego na rusztowaniu, to piękny

ptak co pan teraz malujesz Panie Adamie! rychtyk takiego widziałem żywego w Warszawie!—Wątpię Panie Józefie czy mogłeś widzieć takiego ptaka rzekł malarz, bo to fenix.—Ach? czy jednego i czy raz? może z dziesięciu! jak dziś pamiętam!—Malarz pokręcił głową, a tym czasem ciekawy Sularski przerwał: „wielka fabryka Panie Józefie!... Znowu Józef; aha! i ani pół słowa więcej.—Zapewne Pan Podkomorzyc powróci; słyszałem że się ma żenić! Daj Boże szczęśliwie! czy to prawda kochany Panie Józefie?—Nie! to ja mam się ożenić, odpowiedział nakoniec Józef, i będę tu sobie mieszkał jak Pan!—Do prawdy? to co inszego!!! z kimże takim myśli Pan Dobrodziej ożenić się? zapytał szydersko uśmiechając się Sularski? A może i z pańską najmłodszą córeczką Helenką, bo Panna Salomeja nie umie herbaty nalewać.—Sularski na taką niespo-

dzianą deklaracją, zatrzasnął drzwiami, a wychodząc z przyciskiem wymówił: „Oszust!” Józef patrząc złośliwie za odchodzącym wymówił także „Oszust!” „Obadwaj powiedzieli prawdę, odezwał się na końcu malarz na rusztowaniu; rozśmieli się rzemieślnicy.

Mniej skryty i łatwiej komunikujący się stary Michał, jeżeli gdzie się spotkał z Panem Baltazarem, i gdy ten go zapytał o przyczynę rozruchu w budynku, bez ogródki odpowiadał: Wybieraj się Waćpan w drogę, Pan nasz ożenił się; wziął wielki posag i wszystkich waćpanów wypędzi, fort! fort! mospanie fort!

Złowroźbe te przepowiednie, którym nie zupełną wszakże dawał wiarę Pan Baltazar, nabierały wszelakoż coraz większej pewności. W sąsiedztwie i w plebanii w niedzielę z tą samą powszechną spotykał się wieścią; we wła-

snym nawet domu, podsłuchał nieraz jak w piekarni czeladź, opatrzywszy wprzód, czy niema której panienki, opowiadała nowinki, o hucznym weselu pana, o pięknej, młodej i bogatej pani, którą Dagocki widział na swoje oczy, bo jeździł na wesele, choć to ztąd o mil pięćdziesiąt; a nakoniec Józef odebrawszy przez tegoż samego Dagockiego rozkazy, wyjechał niespodzianie dnia jednego w drogę, i zapowiedział że powróci z Państwem.

Zbliżała się wiosna, wcześniejszym dogrzany promieniem śnieg stopniał, i w szumne rozlał się potoki; gdzie nigdzie pod płotem leżał on jeszcze szczer-niałym kosmem, jak stary łazarz w łachmanach oczekujący chwili gdy go ziemia pochłonie; lecz natura brała już popęd życia! Chwila jeszcze sennego otrętwienia.... przejdzie natychmiast! a wszystko razem jedną ożywczą po-

pchnięte siłą, rozwinie się, zazieleni, zakwitnie. Skowronek w powietrzu, wierzba na ziemi, obwieszcza tę chwilę i uprzedza; a niedziela wierzbną, jest jakby dniem ostatniej między zimą a wiosną walki.

W wigilią téj pięknej niedzieli, stary Michał z życzliwością Kaleba (*) dla swoich panów, i z równą troskliwością, rozmyślał w spiżarni o materyałach na przyszłe święcone. Z czegoż Pani pirogi i babki piec będzie? pytał on w myśli sam siebie, i szukał napróżno odpowiedzi w jaszczkach i faskach; wiedział on dobrze że tam nic nie znajdzie, ale poczciwy staruszek chciał cudu rozmnożenia chleba w pustyni! Nakoniec zmęczony sam siebie, stanął na środku spiżarni, zażył mocno pokilkakrotnie tabaki, pokiwał głową i wyszedł ocierając z oczu; poczem namyśliwszy się troche

(*) Narzeczona Lamermoru, romans Waltera Skota.

szedł prosto do wioski. Przez drogę uspokoił się zupełnie, owszem wesółą twarz przybrawszy, usiadł jak zwyczajnie na kopcu, co było hasłem zebrania się około niego prawie całej ludności.

„*Za tydzień, wielki dzień!* he? co wasze myślicie? zagadnął Michał. Prawda! chwala Bogu! odpowiedział stary Marcin; jeszcze raz z waszecią kumie zjemy wielkanocne jajko, a to podobno już z kopę zjedliśmy razem, od tego czasu jak waszeci do kuchni, a mnie do pokoju wziął nieboszczyk Pan stary! wieczny jemu odpoczynek! „Bracie Marcinie, rzekł Michał, o młodym pogadamy. Ożenił się wiem pewnie, ożenił się; przyjadą oboje na święta, a zatem jutro podług dawnego zwyczaju przyniescie włoczebne! — „Ależ kumie, rzekł znowu Marcin, zapomniałeś że my do panicza już nie należym, że mamy nowych panów, że na czym wozku jedziesz, temu i pieśni

śpiewaj!” — „A ty zapomniałeś? przerwał podnosząc się Michał, zapomniałeś czyj chleb jadłeś przez lat pięćdziesiąt? Zapomniałeś jak dobrymi dla ciebie byli dziad i ojciec terazniejszego pana? Zapomniałeś że cię nieboszczka pani ożeniła, i jaki posag dała twojej żonce, a swojej wiernej Marysi? zapomniałeś że z ich łaski, twoje synki i całej wioski na xiążkach Pana Boga chwala? A czy jeden dawnoby z was na mogilniku ziemię gryzł, gdyby w chorobach waszych pan sam was nie doglądał i nie miał gotowego, zawsze lekarstwa? Zapomnieliście wszyscy, że od dziadów i pradziadów my ich dzieci?...” „Da to prawda! święta prawda! zawołali wszyscy i starzy i młodzi, a babki szczególniej rozczulone powtarzały to prawda! ale nacóż on nas w cudze ręce oddał?” Michał usiadł znowu na kopcu, bo mu nogi z mocnego wzruszenia drżały, i rzekł „oddal! oddal! to i

odbierze! Stary Michał nie kłamie nigdy i stary Michał modli się codziennie i prosi Boga, aby kiedy umrze, garść piasku nie cudzy jaki człowiek, ale własny mój rodowity pan na oczy rzucił: i doczekam tego za Boską pomocą, doczekam!!!”

„Tak cóż robić teraz? i jakże będzie? pytano zewsząd” — „Oto tak; prowadził dalej rzecz swoją Michał, jutro bratki odnieście włoczebne prosto do budynku, ja was tam przyjmę chędogo po dawnemu” — „A jak Sularski zajdzie nam drogę? bo już nakazywał o włoczebne” — „On swoją drogą, a wyswoją! cóż on wam zrobi kiedy jego wraz djabli... tfu, Boże odpuść! kiedy jego wraz nie stanie, a ja panu waszą życzliwość opowiem: Wiecie stare przysłowie: *„Rzuć za siebie, znajdziesz przed sobą?”* Także i będzie jak mówisz kumie! odezwał się Marcin, jutro ja sam ich poprowadzę z włoczebnym do dworu.” Wstał Mi-

chał pożegnał zgromadzenie, lecz od-
szedłszy kroków kilkanaście zwrócił się
jeszcze i do odchodzących zawołał:
„Słuchajcie gospodynie! Krysio! Katry-
no! Elżbieto! jeżeli która z was ma kurę
tłustą albo kapłuna to przynieście, potem
policzym się z każdą: bo chociaż u nas
chwała Bogu śpiżarnia nie pusta, wsze-
lakoż zda się to na pieczyste.” Baby ki-
wnęły głową na znak zgody, a stary
powędrował spokojnie mruczając wie-
czorną modlitewkę swoją „*Pod twoją
obronę uciekamy się etc.*” —

Niech co chcą mówią gabinetowi teo-
rycy, *pseudo-filantropi*, znający kraj
swoją z mapy, gospodarstwo z ogrodów,
a włościan i panów z potwarczych i fał-
szywych wyobrażeń, naśladowczym po-
wtarzaniem okrzykiwanych: którzy za-
przeczą i ujmują ludzkości panom, a
chłopkom życzliwości i przywiązania ku
panom, a raczej pierwszym ucisk, drugim

nienawiść przyznają. Nie tak jest jednak w istocie! nie tak jest w ogólności! Długimi laty spojone, z pokoleń na pokolenia przelane związki włościan z ich dziećmi, są najczęściej obu stronom mile i drogie; włościanin przywykły do opieki, dobroci i łagodności swoich panów, tłumaczy dzieciom i rozpowiada dzieje ich domu i dworu, łaski sobie świadczony, przygody wspólnie wycierpiane, i przyzwyczajają przyszłych gospodarzy do szanowania i starych panów i panicza przyszłego ich pana. Panicz od mamki i niańki naprzód zabiera znajomość, wiadomość stanu, potrzeb i zwyczajów włościan; od niemowlęctwa prawie przywyka do nich, uczy się codziennym przykładem z obejścia się rodziców z poddanymi owój opiekuńczej, rodzicielskiej że tak powiem ku nim skłonności; nakoniec wpaja w siebie głęboko przekonanie, że od dobrego

bytu jego włościan, własny jego byt dobry zależy, i odziedzicza razem z fortuną wzajemne poddanych i ku poddanym przywiązanie. Wieleż to razy w Litwie się zdarzało, że pamiętni cnoty i dobroci ojców i dziadów, a wierząc w równeż uczucia ku sobie młodych często marnotrawnych panów, włościanie składali dobrowolne im ofiary i pieniądze na opłacenie długów, byle tylko w obce nie bydź przedanemi ręce. Wieleż razy stan zamożny włości znikał widocznie przez to tylko, że nowy nabywca nie miał i nie mógł wzbudzić zaufania ku sobie poddanych, którzy nie dowierzając mu, tracili ochotę do pracy gdy jéjowocu nie byli pewnymi! — Fałszywém jest mniemanie że włościanie chce coraz odmiany pana; nie! do dobrych, do kochających go szczerze, do sprawiedliwych, do sumiennych, pobożnych, (bo i włościanie nasi są pobożnymi) panów,

przywyka on serdecznie; a jeżeli bogacze nasi, dziedzice coraz rzadsi dawnych swietnych imion i dostatków, zaniechawszy patryarchalnego ojców ich z włoscianami swymi obejścia się, nie znający ich i sami im nie znajomi i obcy, spuszczają wszelkie z nimi stosunki, na swych komissarzy; jeżeli tém samym lekce wazą i dozwalają więdnąć i rozrywać się wieńcowi z kłósów, który panów i kmieci w jedną wzajem sobie życzliwą rodzinę, jak ule pszczoł pracowitych z ich matką ogarniał: to ujmują sami sobie najmilszych, najczystszych i codziennych roskoszy, a może trwalszych nawet niżeli mniemać mogą korzyści!!!

Nazajutrz zielone bukiety z rozpełkłej wierzby i jałowcu, zakwitły we wszystkich rękach; z niemi włoscianie z rana przed nabożeństwem szli do dworu postrojeni swiętecznie, niosąc

w białych chustkach po dziesiątku jaj. Mężczyźni w białych siermięgach, w wysokich z siwych baranów czapkach, pasami czarnemi przepasani; w granatowych sukiennych czuhajach, w litych kapturach na głowach matrony; a w różnych i obciśle ściętych gorsetach, w różnokolorowych spodniczkach dziewczęta. Warkocze swiatłych włosów w długich wstążkami przewijanych kosach spadały im na ramiona, szyje i piersi w śnieżnych koszulkach zatajone i kilkunastu sznurkami koralu, bursztynów, lub błyszczących paciorek jasnijące; rumianych jagod, czerstwości cery, i pięknych błękitnych lub czarnych oczu, nie jedna z moich czytelniczek mogłaby im pozazdrościć! Szły one jedną gromadą, niosąc w rękach trzewiki i ponczochoy, które dopiero pod kościołem przywdziać miały. Chłopcy w podobnych co i starsi gospodarze odzie-

zach, wpadali często swawolnie między tę gromadę, a natenczas śmiechy i hałasy rozlegały się do koła. Na przodzie wszystkich szedł stary Marcin, w piaszczystej, naduże stalowe guziki zapiętej kapocie i z jedwabną chustką na szyi; niósł on pięknego koguta, a niektóre z kobiet niosły kury podług wczorajszej odezwy Michała. Nakoniec przed Marcinem jeszcze, sypało się liczne grono dzieci oboiej płci i różnego wieku, chędogo i strojno ubranych, które biegnąc i przeganiając się wzajem, smagały się bez uwagi i miłosierdzia po oczach, uszach, nosach i twarzach różgami wierzbowemi i krzyczały zapamiętale: „Nie ja biję, wierzba bije, za tydzień wielki-dzień (*).

Jak tylko gromada ta wyszła z wioski i ukazała się na drodze wiodącej do dworu, a przez dwór do parafial-

(*) Słowa obrzędowe wierzbnej niedzieli.

nego kościoła; wnet pani Sularska wyniosła z córkami stolik przed folwark, zasłała go białą serwetą, położyła bułkę chleba, kilka serów, i postawiła dwie wielkie cynowe misy na skład włoczebnego; sam zaś Jegomość stanął przy stoliku piastując w ręku sporą flaszę miedzianą z czarką z tegoż metalu; i tak wszyscy czekali gromady. Zdziwili się jednak mocno że przed budynkiem Michał podobniuteńkie zrobił przygotowanie, z różnicą, że zamiast mis cynowych, postawił fajansowe półmiski, a zamiast miedzianej flaszki, jakiś staroswiecki hlaczek, zawierający podobno ostatnie zapasy równowiecznej z nim samym staruszki.

„Co on myśli ten stary Barabasza? mówił Sularski do żony i córek: co on myśli?” Tym czasem zbliżali się włoscianie i weszli do bramy, z której postrzegłszy podwójne przygotowania na

swoje przyjęcie, Marcin zatrzymał się chwilę w wątpliwości odnawiającej się po wczorajszemu; ale dziatwa kochająca i przywykła do Michała, a bojąca się Sularskiego jak niedzwiedzia, zwróciła się ku budynkowi i rozbiegła się po obszernym dziedzińcu. Michał widząc niepewność swojego kuma Marcina, machnął nań ręką, czém i jego i całą gromadę zdeterminował że się do niego zwróciła.—„Dokąd wy idziecie? dokąd chamy? krzyknął Sularski! ja zaraz was po swojemu zawrócę!”... Wtém pędząc klusem konny wpadł na dziedziniec, i zsiadłszy z konia: „czy tu mieszka pan Sularski zapytał?—„Ja to jestem, odpowiedział samże pan Baltazar. — „Oto pięknie! tylko co nie minąłem; a teraz masz pan list pilny, proszę czytać i mnie trzy ruble zapłacić, bo tak mnie zgodził pan Rejent.”—Posłaniec ten w kubraku ciemnym bajowym, dobrze wytar-

tym i kusym; mógł mieć lat pięćdziesiąt, czerwone policzki, wąs rudy i rzadki, włosy wysoko podcięte, składały się w czuprynkę w kształcie jakby peruki srebrno-rusej i zlekka podfryzowanej; oko na przekór włosom czarne i żywe; a w całym ruchu i w całej postaci, nadzwyczajna rzezwość i rubaszność, wydawały w przybyśzu światowego bywalca, i wstępnego bez ceremonij towarzysza. Jakoż rozgosił się poufale od razu. „Za pozwoleniem mego dobrodzieja, rzekł, ja i mój konik odpoczniemy sobie, i przekąsim cokolwiek z łaski pańskiej, bo djabelnie obadwa z hasaliśmy się! A to pięknie! mil siedm dziś, i bez popasu!”—Zaprowadził zatem konia do stajni, rozsiodłał go, postawił u żłobu, zarzucił siana, a sam przyszedł na śniadanie do Jejmości.

Gdy pan Baltazar włożywszy na nos okulary, sylabizował z cicha list do sie-

bie pana mecenasa Grzegorza, od exdywizyi nam znajomego; tym czasem złożywszy włoczebne na stoliku u Michała, a kury wpusciwszy do kuchni, włoscianie poczęstowali się skromnie i ruszyli też samą gromadą do kościoła przechodząc około okna Sularskiego; ale już on ich zawracać po swojemu nie myślał, bo nowiny które odebrał z Wilna wcale niepomyslne były.

„Bodajeś szyję złamał tu jadąc” rzekł pan Baltazar przeczytawszy list pana Grzegorza, do posłańca czekającego spokojnie śniadania, i pogładającego na miedzianą flaszkę stojącą na kominku: miałeś poco tu lecieć!” — „A to pięknie! mój dobrodzieju! posłańca ni scinają ni wieszają; za co mój dobrodziej na mnie się gniewa? Oto pięknie! ja z konia żyję i z konia służę; szlachcic jestem Bogu dzięki, Jan Bonawentura Babilo do usług mego dobrodzieja; mam kon-

dycją moją właściwą pod Żupranami, ale mieszkam w Wilnie na Sawicz ulicy w domku pana Koczyńskiego, co gra na fagocie w teatrze. Oto pięknie! kto mnie każe temu jadę.”—„Nu dak co? przerwała ten potok rekomendacyi pani Sularska.”—„Oto pięknie! jeżeli moja dobrodzika.”—„A niech cię kaci porwą! czy pięknie czy nie pięknie, krzyknął zniecierpliwiony pan Baltazar; czego tu chcesz u licha?”—„Wódki naprzód i zakąski mój dobrodzieju; dziś jeszcze ani rosy w gębie nie miałem, oto pięknie! a potem trzech rubli i kwita! wódki? na, masz, pij! rzekł nalewając z flaszki Sularski, ale co do pieniędzy zjesz djabła!”—„A to pięknie! toż to mój dobrodziej jak Plebejuszowi jakiemu wtyka czarękę w rękę! przecież do Jana Bonawentury Babilły i przepić można; oto pięknie!—„No więc do Wacpana, przepraszam!—„A to co innego!” Wychylił

czarę pan Bonawentura i nie stawiając na stole, podniósł ją do flaszki: „*alterum tantum* po drodze mój dobrodzieju!” — „Niech i tak będzie, rzekł nalewając Sularski, pij! — „Wychylił znowu dodna i stawiając czarkę: oto pięknie! *Deo gratias!* wysmienita!” zawołał ocierając wąsy. „Co do pieniędzy, mój dobrodzieju to mniejsza oto! Pan Regent zapłaci mnie we dwoje, a od mego dobrodzieja odbierze we czworo, a może i w dziesięcioro, oto pięknie! Zhasałem mil dwadzieścia, powrót drugie tyle, to mamy ośmdziesiąt, i mam powrócić z kwitkiem, oto pięknie!!! Sularski tym czasem chodził wielkimi krokami po izbie, dał się, przeklinał, nareście wykrzyknął do żony: „Duszeko! wszystko djabli wzięli!” — „ott pięknie! gryząc ser podchwycił pan Bonawentura, dla czego? i za co? czy to mój list takiego nawarzył piwa memu dobrodziejowi? —

—„A nie już co innego!—„Nu dak cóż ten list? zapytała pani Sularska, patrząc w oczy mężowi, nu dak cóż?”—„Masz! czytaj! rzekł on rzucając list na stół.— „Ale gdzież tam! tak długo? na życiu mojem tyle nie przeczytałam pisanego! Niechaj przyjdzie Salomeja!”—„Ja przeczytam kiedy moja dobrodzika każe, odezwał się Babiło, może nie ma sekretu?”—„A jaki u licha sekret, czytaj rzekł Sularski, i ten zaczął:

„Kochany panie Rotmistrzu!—A to pięknie! Mój dobrodziej Rotmistrz, a ja o tém nie wiedziałem! to mój dobrodziej wojskowo traktował? otto pięknie! Niegdyś to i ja wywijałem szabelką na sejmickach, ale jak przyszło do żołnierki, pomyśliłem sobie otto pięknie!”... „Czytajże wasan dalej, przerwała Sularska.—„Aha, o toż dalej. „Kochany panie Rotmistrzu! przegrałeś sprawę w Departamencie zupełnie...A to

pięknie! to mój dobrodziej miałeś sprawę! Ach! czemuż ja o tém niewiedziałem? otoż bym podforsował! ja sam mam pięć spraw w tymże samym Departamencie, które attentuję teraz siedząc w Wilnie; i mam nie chwaląc się przyjaciół! Piérwszy aktorat, to z moją żonulą dobrodziką, oto pięknie! która mnie wypędziła z moiego folwarku, *alias* z kondycyi; na mocy jakoby reformacyjnego dokumentu. Prawdę mówiąc ja sam od niej uciekłem, ale że dokument nie przyznany, więc ja pozew Jejmości dobrodzice o rahabicyę! ona mnie pozew o przechwałki!!! Oho! Szwed baba, mój dobrodzieju! umiemy jeszcze oboje Bogu dzięki poprowadzić interes! *Tandem*, po tych pozwach zapadł dekret *copiarum spraw*, otto pięknie! a gdzież sprawiedliwość? Appelluję więc mój dobrodzieju do Departamentu, i wędruję piechotą około Bo-

żego Narodzenia do Wilna. Przeziąblem kaducznie, zachorowałem na gorączkę, i leżę u Miłosiernych mój dobrodzieju; tym czasem Baba dopilnowała sprawy, i ja powróciłem sześciorką: to się znaczy wziąłem sześć niedziel wieży, kiedy Ichmość nierozumiecie: oto pięknie! Ale to nic jeszcze.”—Sularska nie mogąc doczekać się, końca wyrwała list z rąk gaduły, i oddając wchodzącej córce: „przeczytaj Salomciu, rzekła, ten list, od końca do końca.”—„A czemuż nie ja moja dobrodziko?—„Wasan byś do jutra nie skończył ze swojemi pozwami i sprawami; czytaj!” Po wyrazach wprzód już odczytanych następowało:

„Ostrzegałem wacpana nieraz, że trzeba się było pilnować! Padliśmy wszyscy, lecz wacpan najgorzej; bo kazano abyś zdał kalkulacyę *de asse et grano* tak *ex officio* służby niegdyś ekonomskiej u pana Podkomorzycy od-

bywanej, jako też *ex possesso* schedy.”
 — „Co to znaczy mosanie? wasan widzę prawnik, zapytał Sularski pana Bonawentury; *de asse?* jak tam?” — „*De asse et grano*, powtórzyła panna Salomea.
 — „Oto pięknie! *asse et grano*, cóż ma znaczyć innego? znaczy *wszystko przegrano*, mój dobrodzieju! — „Taki widzę i z wasana łacinnik jak i ze mnie; ale zawsze to wyraz jakiś fatalny, bo m go już raz slyszal z ust pana Grzegorza gdy przeciw Podkomorzycy na exdywizyj perorował. — „Życzyłbym więc wacpanu, kochany Rotmistrzu, były dalej słowa listu, abyś nie czekając dalszych konsekwencyi wyniósł się spokojnie ze swojej schedy. Podkomorzyc ożenił się, wziął piękny posag gotówką i układał się z kredytorami; zapewne nie skrzywdzi i wacpana, bo ja zawsze tak trzymałem i trzymam że to zacny i pocziwy pan! — „Oho innym!

tonem już śpiewa ptaszek! przerwał kręcąc głową Sularski—„Bądź zdrow kochany Rotmistrzu i zapłać posłańcowi rubli trzy.”— „A widzi mój dobrodziej; trzy rubelki dadź trzeba! zła wprawdzie nowina, ale czyż głową o ścianę uderzyć? oto pięknie!!!” Wszyscy jednakże stali w zamyśleniu.... — „Nu dak coź robić? przerwała Pani Sularska: nie już utopić się?...—„To więc trzeba nam będzie ustąpić? zapytała Panna Salomea; a papa wszak mówił.... — „Milcz! przerwał Sularski; znowu więc milczano!!!—W mojej drugiej sprawie mój dobrodzieju, którą mam ze szwagrem moim w Lidzie o sto złotych posagu nieboszczki z ciotecznych cioteczno rodzonej siostry mojej”, powiedział znowu Pan Babilfo korzystając z powszechnego milczenia, „od ziemstwa, poszliśmy obadwa do departamentu i obadwaj przegraliśmy. Oto pięknie! prawujemy się teraz na nowo,

co Pan Bóg da to da!” Pan Bonawentura należał do tego rodzaju szlachciców okolicznych, jakich przed kilkunastu laty, wielu jeszcze naliczyć można było, a teraz może i żadnego niéma; nie przeto żeby wszyscy poumierali, lecz że z pola zeszedli, a nowe pokolenie nie idzie w ich ślady, których całém zatrudnieniem, całém upodobaniem i nauką było pieniąctwo; którzy za najważniejszy dowód swego szlactwa, liczyli pozwy dane lub odebrane, a im więcej ich mieli lub dali, tém godniejszemi bydź się mniemali szlacheckiego klejnotu.

„Oj! co trzecia sprawa mój dobrodzieju, to djabelnie kręta! Idzie rzecz o granicę; ale niech mię djabli porwą, jeżeli ktokolwiek z nas prawujących się rozumie o co nam idzie! Otto pięknie! Posłuchaj tylko mój dobrodziej: był kiedyś podobno kopiec na mchu....—
„Ani myślę służyć! krzyknął tupa-

jąc nogą Pan Baltazar, i obracając się do żony rzekł: „Duszeko! co ty myślisz?” W trudnych okolicznościach najczęściej udawał się Sularski po radę, do poczciwego a prostego rozsądku swojej połowicy, i nigdy się na nim nie zawiodł, skoro posłuchał.— „Ot ja myślę, odpowiedziała ona, że pojedziemy naprzód na mszę świętą do kościoła, dziś wielka uroczystość; pomodlim się Panu Bogu na tę intencję, poradzimy się w plebanii rozumniejszych od nas ludzi, i potem postanowim cokolwiek. Wszak ja nieraz waszeci mówiłam, że to w końcu na złe wyuidzie; że Pan Bóg nie dopomoże; a wieleż to razy sniło się mnie!...— „Dość, dość duszeko! dobrze mówiłaś i dobrze mówisz, pojedziemy do kościoła; a wasan panie jurysto odpocznij do obiadu nim powrócimy.”— Zaszła bryczka, Sularscy oboje z córkami umieścili się w niej i pojechali, a pan Bonawentura rozciągnął

się jak długi na kanapie, i wnet zachrapał głęboko.

Okolo południa powrócili z nabożeństwa Sularscy, nakryto do stołu, a spokojniejszy i weselszy gospodarz obudzil swego gościa na obiad. Porwał się on nagle, a zajęty nawet i we śnie swemi processami, wrzasnął bez przygotowania: „Co! kondemnata? otto pięknie!—„Nie kondemnata ale obiad, rzekł Sularski, wstawaj!—„A to co innego, poziewając szeroko i przecierając oczy, odezwał się prawnik otto pięknie! tak się rozespalem!

Po obiedzie, skutkiem rady ogólnej i dobrze rozważonej w plebanji, pan Baltazar siadł do bryczki i pojechał starać się possessyjki, a pan Babiło odebrawszy swoje trzy rubelki, które mu z bojaźni nowego processu oddano, dosiadł rzezwo swego szłapaka, i ruszył śpiesznym klusem nazad do Wilna at-

tentować swoją sprawę w sądzie granicznym.

Jeszcze parę tygodni upłynęło tu bez odmiany: tylko w ogrodzie dwór ten otaczającym, w którym maj rozwinał wszelkie bogactwa wiosny, po długich lipowych ulicach od trzech dni co wieczór słyszeć się dawał głos cienki i fałszywy, wyśpiewujący wyraźnie od początku do końca rozmaite światowe pieśni jak np:

- » Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły,
- » I ktoś tam klaszcze za borem;
- » Pewnie mnie czeka mój Filon miły,
- » Pod umówionym jaworem! (*)

to znowu:

- Potok płynie doliną,
- Nad potokiem jawory,
- Tam ja z moją Justyną
- Słodkie pędził wieczory! i t. d. (**)

albo także:

- Sliczna Elżuniu! już to podobno
- Kończą się nasze lube wieczory!

(*) Karpińskiego.

(**) Tegoż.

Dziś jeszcze razem, jutro osobno

Dzikię nas będą przedzielać bory!

Choć mnie nie będzie, ty wspomnij przecie

Żem cię ukochał jedną na świecie! (*)

Śpiewaczka nie darowała ani jednej strofki, ani jednego wyrazu; głuche echo jój tylko odpowiadało, bo nikogo nie było w ogrodzie do wtóru lub oklasków. A jednakże ona podobała sobie widocznie w swym śpiewie, nawet całą aryę lub niektóre ulubieńsze strofki pokilkakroć powtarzała. Śpiewy te kończyła pospolicie pobożną pieśnią: „Kto się w opiekę poda Panu swemu” i t. d. i potem ciche mruczenie pacierza zwiastowało ukazanie się saméjże syreny. Jakkóż z altany wychodziła powolnym krokiem staruszka, miernego wzrostu i czerstwéj jeszcze cery. Twarz trochę podróżowana i czepeczek starannie na głowie opięty, dowodem bydz mogły

(*) Nagurskiego.

że wydać się staruszką wcale nie chciała. Białe szlafrocze wieczorne i chustka pięknego wzoru okrywały jej figurkę suchą, którą wiek schylał, a miłość własna prostowała; wreszcie łagodność w oku i na całej twarzy, od razu zjednać jej mogły przychylność, której rzeczywiście wartą była. Ciocia to była Podkomorzyca, wdowa bezdzietna; listem jego wezwana przybyła ona tutaj, dla przyjęcia młodej gospodyni, żony kochanego jej Teofila, którego jak syna kochała, i dla przygotowania zapasów dla nowego gospodarstwa. Jakoż dwie pakowne bryki przysły za kolaską ciotuni, a Michał ujrzał od razu napelnioną całą swoją spiżarnię i apteczkę.

„Dobry wieczor kochany Michale, mówiła staruszka—„Dobry wieczor mościa dobrodziko—„Acóż niesłychać czego o naszych?—„Nie mościa dobrodziko; ale ja myślę że dziś w nocy przyjadą.—„Pan

Bóg z nami Michale! a któż ich w nocy z chlebem i z solą przyjmie? Przecież i przykazywałam i prosiłam Józefa, którego pan Teofil do mnie z listami przysłał, aby tak kierował w podróży, żeby tu przed śniadaniem o samej jedenastej wjeżdżali, i dla tego codzień jak sam widzisz, ubieram zrana wszystko jak należy, i czekam tych miłych gości. Ale w nocy! co za myśl? Nie! Józef nie zapomni mojej proźby, a jeszcze dałam mu i chusteczkę tarletanową na szyję.... — „Ej! mościa dobrodziko, Józef bałamut! a potem, czy to pan nasz Józefa słuchać będzie? Jak wypadnie tak przyjadą, a Imość dobrodzika spij dla tego smaczno, bo to w starości przebudzać się w nocy bardzo nie zdrowo!... — „Zglupiałeś mój kochany Michale! cóż to w starości? w jakiej starości? — „A jakże mościa dobrodziko; rzekł Michał, zażywając powoli tabakę i zadarłszy szeroką łysinę

do góry dla łatwiejszego rzeczy przypomnienia; a jakże? Ja prawda byłem już kuchcikiem kiedy Imość dobrodzika rodziła się; nieboszczyk Podstoli ojciec Imości dobrodziki, a dziad naszego terazniejszego pana, wyjeżdżał jak dziś pamiętam do Nieświża, do Xięcia Radziwiłła Pana kochanku, na jakiś fest. Ależ ja mam lat siedmdziesiąt; no to Imość dobrodzika lat pięćdziesiąt dobrze minęła, daj Boże i drugie tyle”.... Ale ciocia i początku nawet tego rachunku nie dotrzymała, i gdy Michał spuścił łysinę na dół, nie obaczył już swojej Imości dobrodziki; pokiwał głową, zażył jeszcze raz tabaki, i poszedł spokojnie, nie domyślając się najmniej że ją obraził.

Po dniach jeszcze kilku, stary Michał stał na środku dziedzińca i poglądał na drogę z góry ku dworowi schodzącą, gdy nagle pies wielki wskoczył mu

na piersi. Przełęknięty starzec odepchnął psa, lecz razem z zadziwieniem postrzegł, że pies przypadł mu do nóg, lizał mu ręce i łasił się z oznakami najwyższej radości. Spójrział wtenczas poważniej Michał i poznał wyżła *Waleta* faworyta pańskiego, który sam jeden prawie, w dniach smutku, został mu nie zaprzeczaną własnością. Po latach pięciu oddalenia, Walet o milę poczuł rodzinne powietrze, i poleciał na przód, jakby posłaniec oznajmujący przybycie pana, i poznał na dziedzińcu swego starego karmiciela. „Walet! Walet! pocziwy Walet! wołał Michał, a pies był mu znowu na piersiach. Nie odpychał go tą razą, ale przyciskał i głaskał starzec. Gdzież jest siedlisko instynktu psów? tych wiernych naszych przyjaciół i towarzyszków? w ich głowach czy sercach? Nie wiem! ten raz jednak instykt był w sercu *Waleta!*

„Jadą, mościa dobrodziko! jadą! rzekł Michał wchodząc z pośpiechem do pokoju, w którym ciocia siedząc w codzienném oczekiwaniu, ubrana wytwornie w galowe materye i gęste koruny, wiązała siatkę z nici złotych i jedwabiu na podarunek dla swej synowcowej. — „Gdzież są? czy już ich widać? zapytała z radością. — „Nie, mościa dobrodziko; ale oto przybiegl posłaniec, rzekł wskazując na Waleta, i tłumacząc przyczynę ukazania się jego i odnowienia dawniej znajomości. Ciocia pogładziła psa i wyszła aby ostateczne swe zrobić przygotowania.

Jakoż po niedługiej chwili, ukazało się z góry kilka pojazdów.... spotkajmy ich pierwój niżeli przybędą — „Oto jest dom nasz, moja droga Maryo! rzekł znajomy nam młodzieniec niegdyś, a dziś mąż pięknej, młodej, siedzącej obok niego w powozie żony. „W tém miejscu

odtąd będą upływać dni nasze, oby Bóg dał dla obojgu szczęśliwe! Pięć lat mija, jak ze ściśnioném sercem, wyjechałem ztąd bez nadziei powrotu; mogłem wtenczas przewidzieć, że nietylko sam wrócę, ale jeszcze przywiodę pod dach mój ojczysty, odzyskany na nowo, zakład mojego stałego na całe życie szczęścia, ciebie! moja droga Maryo!" Młoda małżonka spójrzała na dom bielejący zdaleka, powlekła ciekawym wzrokiem po całej okolicy, i potém oczy łązka zwilżone, zwróciła tkliwie na męża! to było jój całą odpowiedzią, zrozumiała wszelakoż jego sercu, do którego ją czule przycisnął.

Trzasnął trzykrotnie z bicia kuczer, i zajechał rzezwo przed ganek, na który wystąpiła ciocia do powitania. Trzymała ona w ręku srebrną tacę, a na niej kilka szczypt soli, kilka porcyjek chleba i związka rozmaitych kluczyków,

na złocistym kuku poczepionych, leżało. Obok dwie małe dziewczynki, chędogo w białych sukienkach ubrane, trzymały wazony miesięcznych róż, kwiatami i pączkami osypane. Gdy wysiedli państwo młodzi, nie dając czasu do bliższego powitania, postąpiła ciotka, i oddając tacę w ręce nowój Pani, rzekła poważnie: „Witam cię młoda gospodyni w domu męża twojego! przyjmuję cię darem Bożym, chlebem i solą, i życzę z całego serca, aby u was chleba i soli było zawsze dostatkem i dla was samych i dla ludzi!” Potém wzięła klucze i zasuważąc za wstęgę opasującą Maryę, „Szafuj skromnie a pocziwie, kończyła dalej, darami od Boga wam udzielenemi! Rządź jak matka czeladką i domem waszym, a Bóg wam szczęście i błogosławić będzie, tak jak ja wam błogosławię, i jak te róże w pączkach zakwitniecie w potomkach waszych!” — „Moja

najdroższa ciotko! moja druga Matko! wykrzyknął Teofil płacząc rzewnie, i rzucił się jęj do nóg. Taż samą myślą, témże samém uczuciem przejęta, czuła i również zapłakana żona jego, widząc także jakby matkę swoję, w matce swego ukochanego, upadła razem z mężem ku ziemi, i obejmując kolana zacnej matrony, szlochającej i przyciskającej ich obojgu do serca „ach! mówiła, ty i moją matką będziesz, bo i ja własnej już nie mam!” Nakoniec znowu ciocia podała tacę swęj synowicy, i zmusiła aby trzymając oną w ręku weszła na przodzie do pokoju. Tam nowe uściski, nowe wynurzenia radości i przywiązania! Stary Michał stał z boku, żegnał on i błogosławił swych Panów, powtarzając zciucha: „Niechaj was Pan Bóg błogosławi! Niechaj Pan Bóg błogosławi! „Dosłyszał słów tych pan jego, obrócił się nagle, i postrzegł twarz starca we łzach, a rękę

dająca krzyż na powietrzu. „Przyjmujemy! przyjmujemy oboje, mój poczciwy Michale! mój wierny przyjacielu! mój stary sługo! twoje błogosławieństwo, rzekł uściskając go serdecznie, gdy starzec całować mu chciał ręce, których mu on nie dawał; lecz natomiast podniósł mu do ust rękę żony i rzekł: „ona cię kochać i szanować będzie, tak jak ja cię Kocham! Maryo! to jest stary sługa dziada mojego i ojca, mnie on wypiautował na rękę.”—„Niech go Bóg jak najdłużej nam zachowa, odezwała się Marya.—„Nie, mościa dobrodziko! nie! już mnie nie długo na tym świecie! Ale niechaj sobie! dziej się wola boża! pan do nas wrócił, jest teraz komu rzucić mnie garść piasku na oczy!” Wyszedł rozrzuwiony starzec, bo się wstydzil swego płaczu.

„Czas się posilić dzieci, rzekła ciotka podając rękę Maryi i przeprowadzając

ją do drugiego pokoju, gdzie obfite i pełne smacznych łakoci przygotowała śniadanie, chcąc dać od razu młodej mężatce naukę i dowód głębokich swych wiadomości w sztuce smażenia agrestu, róży, i berberysu, oraz pieczenia pierników zaprawiania likworów. Tym czasem z przybyłych bryk za koczem, wysiadł pan Józef z ładną młodą i wesołą garderobną, dla której przez całą drogę był nadzwyczajnie grzecznym; wszystko jednak napróżno, bo trzpiot dziewczyna żartowała z niego i gardziła wszelką jego zalecanką. Wnoszono kufry, paki, kroby i tłomoki, z dostatnią panny młodej wyprawą, jedne do domu mieszkalnego, inne na folwark, gdzie już nie było pana Baltazara, bo się on od miesiąca wyniosł na possessyjkę. Wszystko to w zamieszaniu i nieładzie, czekało rozporządzenia, którym się ciocia bez zwłoki

zajęła, a Teofil wzięwszy żonę pod rękę, oprowadzał ją po domie, po ogrodzie i po całym dworze, pragnąc przyswoić, że tak powiem, nową ptaszynę do nowego gniazda.

Miła jest młodemu małżeństwu chwila wspólnego objęcia nowego domu i gospodarstwa; miłość ich, w pierwszym jeszcze zapale, nadzieją i wzajemnym zaufaniem szczęśliwa, roi za każdym krokiem, i z każdego szczegółu wyrabia im obrazy przyszłego dla ich, rajskiego życia; sami są i dla siebie, własnym zostawieni siłom, wszystko co ich otacza do ich i od ich zależy; każde miejsce znajduje swe przeznaczenie i udział w roskoszach które sobie wróżą, i których urokiem się poją. Doswiadczał tego zarówno bogacz oprowadzający raz pierwszą swoją oblubienicę po ozdobnych komnatach i składach swoich dostatków, jak i ubogi

kmiotek , gdy piérwszy raz swoje domostwo i chudobę żonie w opiekę poleca; doświadczał go tém bardziej Teofil, bo w sercu jego razem z roskoszą obecnej chwili i nadzieją równą przyszłości, łączyły się drogie dlań wspomnienia dziecinnego wieku, i radość z odzyskania dziedzictwa, które straconém dla siebie na zawsze byđ sędził. „To moja Maryo, nasz pokój jadalny, i z tąd wyjście do ogrodu.—„Ach! jakaż piękna i tak bliska altana! Proszę cię Teofilu dziś tam na herbatę! mówiła Marya, a szczęście błyszczało w jej źrenicy!—„To nasz pokój sypialny; a ten obok gabinet, był dawniej pokojem matki mojej; niech więc teraz będzie twoim, aby zawsze służył najdroższym dla mnie osobom!—„A gdzież twoja kancelarya mój miły? Pozwolisz że ją sama tobie uporządkuję i ubiorę!—„Dobrze, lecz oto twoja apteczka!—„A tutaj mościa dobrodziko spi-

żarnia, rzekł Michał, otwierając drzwi przy których czekał pani, pragnąc podobno pochlubić się przed nią ze swoich zapasów.—„Co za obfitość wszystkiego! rzekła Marya.—„U nas zawsze tak bywało mościa dobrodziko, odzywa się Michał.—„Oj! nie zawsze, mój dobry Michale, chociaż nigdy głodni nie byliśmy. Ale domyslam się, musiała to ciocia kochana wspomódz nasze nowe gospodarstwo!—„Tak jest mości dobrodzieju! Ale co ten zapas, rzekł Michał odkrywając naczynie duże, pełne jajek, to jeszcze przed wielkonocą, włoscianie ze wsi pańskich przynieśli na włoczebne.—„Poczcivi ludzie! z jakąż radością ich ujrzę!—Wtej chwili weszła i ciocia. Możemy jej przebaczyć, że chciała za swe dobre i przywiązane serce, mieć nagrodę w zadziwieniu i wdzięczności odbierających jej dary; jakoż rzucili się onina nowo w jej objęcia, i tak w piesz-

czotach i radości upłynął dzień cały. Wieczor piękny majowy, do odleglejszej wabił przechadzki, i Teofil pragnąc jak najrychlej powitać swych włoscian, zaproponował odwiedziny bliskiej a nam znajomej wioseczki. Zasłyszał o projekcie Michał, pobiegł więc natychmiast, ile mu wiek biedz dozwalał i uprzedził panów. Od rana czekano tam bliższych ze dworu wiadomości; gdy więc Michał ukazał się na ulicy, hurmem otoczyli go wszyscy; lecz on nieodpowiadając na żadne pytania: „rydlówek bracia! zawołał, rydlówek!—A na co?—„Ale co wam dotego? rydlówek tylko dawajcie, co najprędzej i co najwięcej!”—Rozbiegli się więc chłopaki i w mgnieniu oka kilkanaście naniesiono rydlówek. Porwał starzec pierwszą i zatapiając ją jak mógł najgłębiej we wnętrzości kopca exdywizorskiego, rozstrzygnął tajemnicę wołając: „Ku-

mie! swacie! bracie, za mną do roboty! rozrzućcie kopiec nim państwo nadejdą, aby się nie *zalterowali*, bo zaraz tu będą u was w gościnie. Dzieci! bierzcie necułki, i roznoście piasek! A co Marcinie, niewierzyłeś staremu Michałowi?" — „Chwała Bogu! odpowiedział z równą gorliwością pracujący Marcin: a tymczasem z mniejszą się coraz i rozsypywał na wszystkie strony, kopiec exdywizorski, jakby nazad oddając dziedzicowi zabraną ziemię z której urosł. W połowie roboty nadszedł Teofil z żoną i ciotką; przyśpieszyli bowiem kroku, postrzegłszy z daleka jakiś szczególniejszy ruch w wiosce. Za ich nadejściem, ustała praca, i pozdrowił dziedzic życzliwych swoich poddanych!!! Powitania wzajemne, łzy starych gospodarzy, uciskanych czule przez ich pana; przypominania mu cnoty i dobroci jego ojca i dziada; a nawet wy-

rżuty życzliwe błędów jego młodości, jako przyczyn wspólnej ich biedy, upewnienia wzajemne dziedzica, że wrócił z prawdziwą i niezmienną chęcią zajęcia się szczerze swoim, i swoich poddanych losem; ciekawe przypatrywanie się kobiet z bliska, a dziewcząt i dziatwy z za płotów młodej pani, i proste ich ale dobitne jej postaci pochwały; i nakoniec wizyta do starego Marcina, zakończona zaproszeniem wszystkich włościan z tej i z drugich wiosek na jutro do dworu na wieczorną, a kobiet i dziatwy po gościńce; wszystko to razem do całodziennych dodane przyjemności, tworzyło potok czystego szczęścia, zalewający serce młodego człowieka, i gojący w niem rany przeszłości.

Spoźniony już był wieczór i w noc zachodziło, gdy ze wsi powracano do dworu. Lękając się wilgoci wieczornej

i kataru, ciocia pożegnała wnet młode małżeństwo i poszła do spoczynku: lecz małżeństwo to niechciało jeszcze kończyć godzin tak błogo im biejących; weszli więc oboje do ogrodu. Noc była piękna, księżyc w połowie pełni tocząc się po najpogodniejszym, i miryadami gwiazd osypaném niebie, przełamwał się w promieniach po gałązkach brzoź, młodym osypanych liściem; szmer potoku brzeżącego ogrodu, i rozlegający się śpiew słowika, niewymówną a miłą harmonią rozlewały w czystém i ożywiającą wonią napełnioném powietrzu!!! Komuż się nie zdarzyło napawać rokoszném odetchnieniem pogodnej i ciepłej majowej nocy? Czyż dusza nieunosła się natenczas tkliwém rozrzewnieniem, miłością ku Twórcy, miłością ku naturze, miłością nakoniec ku ulubionej sobie istocie! a zawsze miłością, bo wszelkie uniesie-

nia człowieka, szczęśliwością w zbudzone, są zawsze jedném i temże samém uczuciem.... miłością!

W takim upojeniu uczuć i myśli, przechodzili oni pokilkakrotnie ogród, aż nakoniec dusze ich przenikające się nawzajem, połączyły się w jednej, w wspólnej, pokornej, a z głębi serc wdzięcznych ku otwartym niebiosom wznoszącej się modlitwie!!! Była ona wstępem mającym zająć pierwszą kartę drugiego rozdziału życia młodego małżonka, a którego ozdobą, roskoszą i nadzieją miał być Anioł stróż, wcielony w piękną niewiastę.

Ach cóż to jest dobroć w kobiecie? Cóż doskonalszego wyjść mogło z rąk Twórcy, nad kobietę Z postacią Anioła i z dobrocią Anioła? z dobrocią, malującą się na jej obliczu, tonącą w jej łagodném oku, uśmiechającą się wdzięcznie na ustach, i wypływającą z czu-

tego serca harmonijnym głosem i słowami pieszczoty, miłości, pociechy, lub proźby; objawiającą się na koniec w każdorodzinnej czynności i w uszczęśliwieniu wszystkiego co ją otacza!!!

„Stokroć szczęśliwy! któremu się zdarzysz!(*).

Kiedy opowiadanie Autora znajduje echo w sercach czytelników, Autor napisał książkę pożyteczną, bo prawdziwą; bo wzbudził myśli i uczucia często uspione, tak jak się stosowną uprawą, życie, obudza w zamarlém ziarnie, które potem pożyteczne przynieść może owoce.—Oby obraz moje, tego szczęśliwego dosięgły celu!

(*) Krasicki.



N O W E D Z I E Ł A .

Nakładem i drukiem Księgarni pod firmą **J. Zawadzkiego** w *Wilnie* wydawane :

1. Obraz Bibliograficzno-Historyczny Literatury i Nauk w Polsce od wprowadzenia do niej druku po rok 1830 włącznie, przez *Adama Jochera*. Wyszły już z druku 4 zeszyty. Zeszyt 1szy i 2gi zawierają Literaturę i Filologiją starożytną; *Część Historyczno-Krytyczną, Bibliografiją i Noty Historyczno-biograficzne*. Zeszyt 3ci i 4ty zawierają Oddział II. *Nauki razem wzięte, Polygrafię, Zbiory. Część Historyczno-Krytyczną, Bibliografiją i Noty*. Zeszyt 5ty zawierać będzie dalszy ciąg Not, Przemowę i Registr.

2. Słownik Łacińsko-Polski przez *X. Floryana Bobrowskiego*, wydanie nowe zupełnie przerobione i znacznie powiększone. Oba tomy in 8vo majori, zawierać będą miasto 80 prospektem zapowiedzianych górą 100 arkuszy ścisłego, pięknego i wyraźnego druku. *Część I*. Tomu Igo już się ukazała na świat i natychmiast Szanownym Pre-numeratorom wręczoną została.

3. Rys dziejów wieków średnich przez *Fryderyka Rühsa*, z niemieckiego przełożony przez *Jana Leona Sieńkiewicza*. 2 Tomy in 8vo 65 arkuszy druku.

4. Obraz Myśli Mojej na pamiątkę Żonie i Dzieciom przez *Floryana Bochwica*. Wydanie Adama Zawadzkiego. in 8vo. *VIII i 132 str.*

5. Rządna Gospodyni w względzie Kuchni i Spizarni. Dzieło dla początkujących Gospodyń Miejskich i Wiejskich, przez *Eleonorę Grebitz*, z polskie wzorowie przełożone przez *Walentego Szacfajera*. 2 Tomy in 8vo 50 arkuszy druku.

6. *Pojata Córka Lezdejki albo Litwini w XIV. wieku.* Romans historyczny przez *F. Bernatowicza*. Wydanie 3cie poprawne, ozdobione wignetami paryzkimi na drzewie rzniętymi. 4 Tomy in 12mo na dobrym papierze z piękną okładką.

7. *Tironi Medico Trames*, opera *Erasmi Brzezińskiego D. M.* etc. in 12. na dobrym papierze. *Dziółko niezbędne dla zaczynających praktykę Medyków.*

8. *Wizerunki i Roztrząsania Naukowe*, Poczet nowy drugi, 12 tomików in 8vo. 1838—1840 około 120 arkuszy druku zawierające, na dobrym papierze. Poczet ten już jest skończony, i zawiera mnóstwo rozpraw i wizerunków oryginalnych i tłómaczonych, jako też ciekawe krytyczne wiadomości o nowych dziełach. (Prenumerata przyjmuje się i na Poczet następny 3ci, także na 12cie tomików, z których 1szy zawierać będzie ciekawą wiadomość historyczną o Kaplicy Sgo Kazimierza (przy Kościele Katedralnym w Wilnie).

9. *Zbiór Kazań Wzorowych w 8 Tomach.* Odoział 1szy zawiera Homilije X. Biskupa *Marcina Białobrzeskiego*. 4 Tomy in 8vo górá 100 arkuszy druku zawierające, ozdobione Portretem litografowanym autora;—Oddział 2gi zawiera Kazania X. *Fllipeckiego*. 4 Tomy in 8vo. (Tom 1szy wydaje się Prenumeratorom).

10. *Arytmetyka na Szczotach.* in 8vo.

11. *Kolęda dla dzieci* przez X. *Moszyńskiego*. in 8vo. minori. Z ryciną, arkuszy 10.

12. *Grammatyka Rossyjska*, przez *Mikołaja Grecza* napisana, z rossyjskiego na polski przełożona. in 8vo.

13. *Metoda uczenia Chronologii*, *Jaźwińskiego*. Z 2ma tablicami figur. in 8vo. na pięknym papierze.



Skontrum 2006 1+2

08177

08/82

PEDAGOGICZNA BIBLIOT

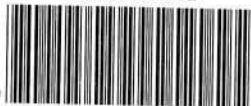
10874

A 10874



T.1
WRO0069438

Dolnośląska Biblioteka Pedagogiczna
we Wrocławiu



T.2
WRO0180450